BOGUSŁAW ADAMOWICZ

TAJEMNICA DŁUGIEGO I KRÓTKIEGO ŻYCIA



WARSZAWA ◇ NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA

TAJEMNICA DŁUGIEGO I KRÓTKIEGO ŻYCIA

BOGUSŁAW ADAMOWICZ

TAJEMNICA DŁUGIEGO I KRÓTKIEGO ŻYCIA

DZIEJE NIEWIADOMEGO DOŻY — POTWOREK — BAJKA O BAJCE — ZEGARMISTRZ — TRYUMF ŚMIERCI — TAJEMNICA DŁUGIEGO I KRÓTKIEGO ŻYCIA.

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

I

DZIEJE NIEWIADOMEGO DOŻY

I.

Diego del Astro nie figuruje w historyi. A był to jeden z najdzielniejszych dożów Wenecyi i gdyby nie przedwczesna śmierć, a raczej nagłe zniknięcie tego wielkiego człowieka, z pewnością rządy jego odbiłyby się pomyślnie na dalszych losach Rzeczypospolitej.

Wielki władca poprostu wypadł z dziejów. Podobne »wypadki« przeoczenia zdarzają się kronikarzom.

I dzieje mają swego szatana, który ukrywa i plącze, mają swe czarnoksięstwa i figle, trudne do wytłumaczenia...

Dużym rozgłosem cieszył się w owym czasie w Wenecyi pewien artysta, którego sztuka malarska szczególne miała znaczenie w życiu Diegi. Był to człowiek młody, lubiany powszechnie i pełen nadzwyczajnych zdolności.

Przepowiadano mu świetną, równą Tycya-

nowskiej przyszłość. Podziwiano z zapałem jego niezwykłe, pełne werwy portrety, które malował zdumiewająco szybko. Obok świetnego talentu słynął z urody i ujmujących zalet charakteru. Obsypywany złotem, rozrzucał je bez troski o jutro, używał życia w pełni z całą lekkomyślnością promiennych natur, o których mówimy, że pod szczęśliwą rodzą się gwiazdą.

Lecz w samym początku tak pomyślnie otwierającej się karyery, znikł nagle z oczu. Podobno wyjechał za granicę. Mówiono jednak głucho, że jest ciągle w mieście, że zamyka się w pracowni i niedopuszczając do siebie nikogo, oddaje się jakimś tajemniczym badaniom....

Po kilkoletniej nieobecności, któregoś dnia malarz zjawił się znowu w Wenecyi. Przypadło to na czas uroczystego objęcia rządów przez Diegę.

Wszystkich uderzyły natychmiast wielkie zmiany, zaszłe w artyście. Nie był to już, jak przedtem lekkomyślny młodzieniec, lecz człowiek zamknięty w sobie i skupiony i — jak dawniej uprzejmy i wesoły — tak teraz oschły i ponurego ducha. W surowych rysach jego twarzy pożółkłej i nad wiek postarzałej, błąkał się wyraz szyderstwa, w oczach kryła się zawiść i nieszczerość, a nad wszystkiem domino-

wało piętno skoncentrowanej woli i nienasyconej żądzy wielkości.

Gdy dowiedziano się o powrocie głośnego malarza, liczni ciekawi zaczęli odwiedzać pracownię i mistrz znowu malował portrety.

Ale przy pierwszych pracach, duża już, wyrobiona sława artysty, zaczęła się wahać i rozdwajać. Nie wszystkim teraz trafiały do przekonania jego obrazy. Jedni chwalili je więcej niż uprzednio; lecz inni szydzili z jego sztuki. Ci utrzymywali, że talent zmarnował, że straciwszy zdolność bystrego przenikania subtelnych różnic w charakterach ludzi, pragnie wyzyskać dawny rozgłos, że stał się już tylko szarlatanem, umiejącym sprytnie wmawiać. A ponieważ sama istota sztuki opiera się, jak mniema ogół, na czemś tak nieuchwytnem, że przejrzeć i odczuć to mogą tylko wyjątkowe umysły, łatwo więc chytremu wyzyskiwaczowi udawało się obałamucać niektóre słabsze i bierniejsze głowy.

Istotnie portrety jego, mimo zadziwiającej swady technicznej, nie posiadały już właściwych sobie dawniej zalet podobieństwa. Nie były już to wizerunki wierne; i gorzej jeszcze, — bo przedstawiały jakby całkiem inne twarze. Ktoś spojrzawszy na świeżo ukończone, mające wy-

obrażać jego własną postać dzieło, dziwnego doznawał uczucia zawodu i niespodzianki, gdy zamiast siebie ujrzał na płótnie jakieś obce indywiduum, jakąś osobę w jego ubraniu, lecz z rysów i wyrazu tak od niego daleką, jak Kleon od Peryklesa, lub Tersytes od Aleksandra Wielkiego. Następowało mimowolne wzruszenie ramion i niepewność, co z tym utworem znakomitego mistrza począć?....

Trudno było nie posądzić artysty o niewłaściwy żart lub o niezupełne zdrowie umysłu... Skądinąd zresztą, jako dzieło sztuki, obraz był niezaprzeczenie świetnym. Kończyło się na tem, że przyjmowano portret.

Po pewnym jednak czasie zaczynano nabierać przychylniejszego o portrecie zdania. Zaczynano dopatrywać się w nim pewnych rysów prawdziwych, właściwego wyrazu i w końcu nie można było obrazowi nie przyznać uderzającej wierności z oryginałem. Następował podziw dla artysty. To już, mówiono, nie jest tylko wyborna podobizna tej osoby, — to jest ta sama osoba żywa, jakby utrwalona w lustrze i oprawiona w ramy.

Tak w oczach ludzkich nabierał stopniowo portret żądanej treści i prawdy.

Osobliwość tę kładziono na karb niezwykłej

głębi geniuszu, odsłaniającej się dopiero przy bardzo poważnem i długotrwałem wnikaniu w istotę dzieła i jego rodzaj.

Ci zaś, co nie mieli sposobności, by stwierdzić tę właściwość, zostawali przy swem pierwotnem, niepochlebnem dla malarza zdaniu.

II.

Wśród sporu, który wobec tak sprzecznych opinij wszczął się pomiędzy paru znawcami czy nieznawcami sztuki na temat dziwnych obrazów, przyszła komuś szczęśliwa myśl zaniesienia jednego z nich do Tycyana.

O Tycyanie mówiono, że ma w duszy słońce, którego tęczami i złotem zaprawia farby swej palety. Ciekawym był jasnowidczy sąd tego geniusza. Tycyan spochmurniał na widok przyniesionego obrazu i znać w nim było pewne zakłopotanie i niepokój, gdy mówił:

— Pocoście mi pokazali ten portret?... Nie mogę nie uznać talentu malarza, lecz nie mogę i wyrazić dlań uznania... Obecna dążność jego w sztuce jest tak różną od mojej, od tego wspólnego nam wszystkim mistrzom śmiertelnym usiłowania: naśladować realnie widome zjawiska, upraszczając je i przetwarzając zgodnie z naturą ducha i oka naszego, w celu wydobycia na jaw tego, co w życiu jest głębokiem i ukry-

tem, a przez to samo istotnem i nieśmiertelnem. Lecz tutaj widzę, że artysta inne, być może dalej idące, lecz tajemnicze postawił sobie zadanie, którego istoty ja przeniknąć nie mogę, a której — wolałbym nawet nie przenikać...

Być może, tkwi w tem jakiś geniusz straszliwy; lecz jabym nie chciał takiego posiadać...

Tu mistrz zamyślił się dłużej i po chwili wahania dodał:

— Jest jednak jakaś zastanawiająca w tym portrecie władza. Nie zauważyłem nigdy w sobie właściwej ludziom nerwowym skłonności do przejmowania się cudzemi wyrazami twarzy. Przeciwnie, dominowałem zwykle nad innymi własnym, sam posiadając pewien dar narzucania... Lecz teraz oto, gdy się dłużej wpatruję w tę twarz tak obcą dla mnie i tak kontrastowo od mojej różną, doznaję wrażenia, jakgdyby rysy me, wbrew mej woli, układały się w wyraz ten oto, który mam przed sobą na płótnie...

Tu odwrócił się mistrz, spojrzał w zwierciadło i, ściągnąwszy brwi, niecierpliwym ruchem odsunął obraz. Poczem skierował rozmowę na inny temat.

Była istotnie tajemnica w dziwnym talencie malarza. Portrety jego, wychodząc z pod pę-

dzla zupełnie niepodobnymi, stawały się z czasem podobnymi nad wyraz. Można było przypuścić rzecz niesłychaną, że portret na skutek jakiejś wczarowanej w płótno nadnaturalnej mocy, z biegiem czasu, poza udziałem już pracy artysty, przekształcał się zwolna, zastosowując do rysów żyjącego wzoru, aż stawał się niezaprzeczenie wiernym...

W istocie jednak zachodziło coś jeszcze bardziej zdumiewającego. To nie portret się zmieniał, zbliżając do rysów oryginału, to zmieniał się żywy oryginał; człowiek, którego on miał być kopią, bezwiednie i mimowolnie sam upodabniał się portretowi. Zmiana ta zachodziła tak stopniowo, choć szybko, że ani sam przekształcający się człowiek, ani nikt z otoczenia, nie mógł spostrzedz dziwnego przeobrażenia. Do tego, nie wiedzieć jakiemu przypisać to wpływowi, zarówno on sam, jak i wszyscy inni, tracili jednocześnie pamięć uprzednich rysów jego twarzy.

O ile były portrety przez innych robione mistrzów, to te nie mogły świadczyć na niekorzyść malarza, gdyż chociaż przedtem uchodziły za dobre, teraz po przeinaczeniu się wzoru uważano je za chybione.

Nikomu więc nie przyszło i na myśl, by te-

go rodzaju wpływ na życie mieć mogła naśladownicza sztuka malarska.

Jeżeli czasem, po długiem rozstaniu, któryś znajomy lub krewny spotkał tak zmienionego człowieka, to, uderzony niespodzianką, wykrzykiwał przy powitaniu:

— Ależ mój drogi przyjacielu, lub — bracie kochany!... Oczom się wierzyć nie chce!... Że tak już teraz wyglądasz!... Jak to bóg czasu nas nielitościwie zmienia!...

Byłażby w pędzlu artysty jakaś pokrewna magii czasu władza, układająca oblicza ludzkie podług stałych i nieodmiennych schematów, których ostatecznym szczeblem i wyrazem jest nicość kościotrupa? Być może; lecz była w nim jeszcze inna groźniejsza, szybkością i efektem działania urągająca nawet Chronosowi siłą.

Twarze osób lubianych malował piękniejszemi, niż były, skutkiem czego pięknniały one w naturze. Malując nielubianych, czynił ich brzydszymi. A stopień szpetoty, jaki im nadawał, był miarą antypatyi lub złego humoru mistrza. Wrogom wydłużał nosy, obniżał czoła, wysadzał szczęki zwierzęco, przerabiając ich z złośliwością całą na żywe, chodzące po ziemi karykatury. A wszystkie te zmiany zachodziły zwykle w przeciągu paru tygodni w tak ta-

jemniczy i niedostrzegalny sposób, że człowiek, który dzięki złej woli malarza dostał garb lub stracił oko, był przekonany, jak i wszyscy, co go znali, że jest ułomnym od urodzenia.

Jeszcze dziwniejszem było to, że nikt ze skarykaturowanych przezeń ludzi nie odrzucił szyderczego portretu. Każdy stawał wobec niego, jak człowiek bez charakteru, nie mogący się zdobyć na czyn nieprzyjemny, lecz naturalny i słuszny, przyjmował portret, ulegając nieodpartemu wpływowi tego, jak mówiono, wyzyskiwacza i szarlatana lub straszliwego maga.

Zdawałoby się, że ów wielki, jedyny w swoim rodzaju talent, w połączeniu z potężnym suggestyjnym wpływem samej osoby artysty, musiałby przykuć uwagę świata daleko bardziej i jeszcze na dłużej, niż się to dzieje z dziełami najznakomitszych mistrzów. W rzeczywistości było inaczej. Na razie, sztuka jego uderzała, wprawiała w zdumienie i podziw. Lecz dziwnie prędko zaczynały ucichać zachwyty gorących wielbicieli i ustawały wzbudzone przez przeciwników spory. Każdy obraz z chwilą, gdy z nim się pogodzono i przyznano mu wysoką cechę genialności, przestawał już zajmować, robił się obojętnym dla świata, jak gdyby na tem uzna-

niu kończyła się jego rola, jak gdyby już wywykonał całe swoje zadanie — i zmartwiał.

A razem z tem i osobistość twórcy samego przestawała budzić zajęcie. Nie lubiano już go powszechnie, unikano i nawet zaczynano bać się...

Życie prowadził zamknięte. Nie używał już dziś rozkoszy swobodnej wesołości młodych, lecz nurzał się w wyuzdanych orgiach, trawiony żądzą demonicznych zbrodni. O pracowni jego opowiadano rzeczy straszne. Tam z pod podłogi rozlegały się czasem jęki. Mówiono, że piękne kobiety, które udało mu się do siebie zwabić, poprzepadały bez wieści... Ale nikomu nie przyszło na myśl poszukiwać w jego domu zaginionych ofiar...

III.

Jednym z najzaciętszych przeciwników malarza był Diego. Doża nienawidził tego — jak mówił — waryata i oszusta, pozującego na mistrza, i niemiłosiernie wydrwiwał jego dzieła.

Lecz Diego miał kochankę, której kaprysom ulegała nawet i ta nieugięta i despotyczna natura. Była nią młoda i słynna z piękności kurtyzana. Uroczej Lucynie, po długich naleganiach, udało się skłonić Diegę, by właśnie temu, znienawidzonemu artyście, powierzył namalowanie jej portretu. Malarz podobał się pięknej kobiecie. Po pierwszem spotkaniu się poczuła ku niemu nieprzeparty pociąg. I kurtyzana stała się gorliwą protektorką sztuki malarza, któremu już zaczynało zwolenników braknąć...

Zawezwany przez Diegę, zjawił się pokorny, układny i z całym spokojem odpowiadając na lekceważące traktowanie władcy, z uśmiechem zabrał się do pracy.

Gdy portret był już skończonym, mistrz

umieścił go w świetle właściwem i czekał na przybycie doży. Tymczasem Lucyna, niema ze zdziwienia, stała obok ze wzrokiem utkwionym w sztalugi.

Diego się zbliżył, rzucił okiem na obraz i z gestem najwyższego oburzenia splunął:

— Ależ to Gorgo! Parka stuwieczna! A nie ta słodka Lucyna! Jędzę zrobiłeś ze świeżej jak wiosna, bogini!... Waryacie! — wołał — mam zdrowe oczy i rozum i nie dam sobie szarlatanom wmawiać!...

Wypędził malarza i kazał za nim wyrzucić jego potworny obraz.

Pierwszy raz takie przyjęcie spotkało artystę. Zniósł to w milczeniu, tylko złowrogi uśmiech zapowiadał, że nie przebaczy strasznej obelgi.

Gdy odszedł, zastanawiał się doża, dlaczego tak względnie łagodnie postąpił z zuchwalcem, który na daleko surowsze skarcenie zasłużył swą bezczelną drwiną.

Tymczasem malarz, wracając do domu, obmyślał zemstę. Z początku przyszła mu myśl skarykaturowania doży tak złośliwie, jak jeszcze dotąd nie skarykaturował żadnego ze swych

najzaciętszych wrogów. Lecz — myślał — Diego jest i w naturze niesłychanie brzydkim; jeśli go bardziej zeszpecę, doda mu to tylko uroku w oczach gawiedzi, jeszcze się głębiej, dzięki szpetocie, postać tyrana wryje w pamięć dziecinnego tłumu. Lecz — rozmyślał dalej — nazywają go wielkim... Cha!... cha!... cha!... — zaśmiał się z dziką radością — zrobię go małym!...

Wybrawszy kawałek drewnianej deszczułki, wielkości dukata, oszlifował ją starannie — i przez kilka dni następnych wychodził codzień na miasto w godzinach, gdy doża zwykł ukazywać się publicznie. Przyglądał mu się przez czas jakiś, a potem wróciwszy do siebie, zasiadał do malowania jego miniatury.

Raz zauważył Diego, że malarz przypatruje mu się z ukrycia.

— Ha! cóż ty teraz, dyable malujesz?! — zawołał szyderczo.

— Ruiny — skłonił się artysta — któremi, jak pochlebiam sobie, zyskam uznanie wielkiego doży. Wyrzekł to z takiem brzmieniem głosu, że Diego mimowolnie zadrżał...

Doża miał zawsze wstręt i pogardę dla tego złego człowieka. Lecz ostatnimi czasy na samą myśl o nim zaczynał doznawać strachu. Dziwił się, że i teraz nie rozkazał go schwytać

i uwięzić za odpowiedź, która wydała mu się zuchwałą groźbą.

Czyżby i jego bezwzględną stanowczość magnetyzował, pogrążał w bezwład, ten szatan?!

Tu już władca poprzysiągł sobie niezwłocznie skończyć z człowiekiem, będącym zmorą jego i grozą. Lecz mimo silnego postanowienia zwlekał — i coraz większa ogarniała go przed tym szydercą trwoga.

IV.

Miniatura już była gotowa. Przedstawiała portret doży w pełnej postaci, cały wielkości zwykłego chrabąszcza.

Rzadko już bardzo zaglądali klienci do ponurej pracowni tajemniczego mistrza. Jedyną osobą stale tam krzątającą się, był wyrostek niemowa, służący do posyłek i tarcia farb. A od czasu do czasu pojawiała się Lucyna, niedawno tak piękna i młoda, a dzisiaj stara i jak parka szpetna. Porzucona przez dożę, udała się do artysty w nadziei, że tam pozyska miłość i przytułek. Lecz malarz niewzruszony szydził z niej bezlitośnie, a jeśli ją wpuszczał do siebie, to tylko dlatego, że sprawiało mu przyjemność widzieć na tej zmienionej twarzy dowód, jak działa jego czarnoksięska sztuka.

Tymczasem coś dziwnego zachodziło z dożą. Potężny umysł jego wyraźnie tracił swą sprężystość; serce kurczyło się, coraz to skąpiej zasilane sokami życia. Nerwy ściągały się i skra-

cały, skupiając wewnątrz z niepojętą siłą i jakby stłaczając w niewidzialnych prasach całą zewnętrzną tęgość jego budowy. Wszystko to razem czyniło wrażenie pewnego przygarbienia i osunięcia się, właściwego ludziom zaczynającym się starzeć.

Już w tydzień po ukończeniu miniatury, wysoka postać władcy uległa znacznej zmianie. On, który (pozwolimy sobie zaczerpnąć porównań z dowolnej epoki) miał wzrost Piotra Rosyjskiego, dorównywał już teraz wyglądem zaledwo Napoleonowi Wielkiemu i stopniowo zaczynał się zniżać do Władysława Łokietka...

Lecz zarówno jak on sam, tak i nikt z jego otoczenia nie dostrzegał tej tajemniczej przemiany wielkości. Wszystkim się zdawało, że del Astro wcale nigdy nie był dwumetrowym olbrzymem, lecz że zawsze wyglądał tylko jak Łokietek.

Że zachodzącej równolegle z tem obniżaniem się wzrostu, podobnejże zmiany wewnętrznej, t. j. karłowacenia duszy, nie dostrzegł w sobie sam władca, temu się można nie dziwić: to cecha wszystkich zaczynających duchowo maleć... Nawet i ogół nie widzi zazwyczaj tego wewnętrznego marnienia w osobach swych panujących. Lecz dla zmian zewnętrznych, w ciele-

snej budowie, ogół miewa wzrok ostry i pamięć dobitną.

Tak demoniczna potęga sztuki straszliwego malarza zdołała paraliżować uwagę nawet wielotysięcznych tłumów. Nikt ani się domyślał, że tu zachodzi zmiana, biorąc ciągłe następstwa za trwały stan uprzedni...

Doża pracował samotnie w jednej z dużych sal bibliotecznych swego wspaniałego pałacu. Nikomu nie wolno było bez zawezwania tam wchodzić.

I teraz zagłębiony w badaniu map, rozłożonych na szerokim stole, siedział władca w wygodnym, bogato rzeźbionym fotelu.

Już był to karzeł zupełny...

Nie spostrzegł wcale, że jego stopy, zwisające z siedzenia dalekie są od dotykania podłogi... Nie spostrzegł tego zupełnie i nie czuł nawet, że z każdą chwilą staje się coraz mniejszym...

Był już tak drobnym, że nie mógłby nawet zleźć z krzesła; lecz zajęty pracą, nie zastanawiał się nad tem. Nareszcie spostrzegł, że nie potrafi wykonać zwykłego ruchu wstania i pójścia po posadzce... Możliwszem okazało się —

wskoczyć na stół. Co też uczyniwszy, chciał coś zanotować na planach — i zdziwił się bardzo, że musi ująć pióro oburącz; a kiedy chciał zanurzyć je w atramencie, z przerażeniem widział, że nie potrafi tego dokonać, nie wszedłszy na jakiś wyższy przedmiot. Musiał więc wskoczyć na najbliższą, znajdującą się przy ścianie, tuż ponad stołem, półkę z dokumentami...

Już ledwo wzrostem dorównywał kałamarzowi. Trudno się kusić na opisanie wrażeń biednego doży: miotała nim rozpacz, strach, przerażenie... Nierozumiał zupełnie co się z nim stało... jak we śnie, nie kontrolując umysłem dziwnego swego położenia.

Nieświadomy faktu, że jest tak niesłychanie małym, czuł tylko, że nie uda mu się zejść na dół z półki, na której się znajdował. W skoku tak ryzykownym mógłby połamać sobie nogi... Łatwiej było piąć się do góry: w subtelnych już teraz — jak u owadu — członkach jego zjawiła się zdolność łażenia po ścianie. Dzięki mikroskopijnej drobności kończyn czepiał się niedostrzegalnych dla oka ludzkiego, nierówności, spowodowanych przez pory w drzewie. Piął się ku coraz wyższym przedziałkom, snuł się po nich jak mucha, szperał po notatkach i wreszcie dotarł do miejsca, gdzie się zaczynały bibliote-

czne szafy. Tam oto, zalazłszy w szafy z książkami, chodził to tu, to ówdzie, jak po lesie, błąkając się między ogromnemi tomami; z ich szpar majaczyły złowrogo czarne potwory liter i gdzieniegdzie wężowym skrętem wyzierał straszny czerwony smok inicyału... Władca nasz tułał się po starych pergaminach, po różnego rodzaju zmurszałych aktach, zupełnie nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi i gdzie się znajduje. Nareszcie stanął na szczycie jakiejś zakurzonej kroniki. Obejrzał się dookoła: pokój biblioteczny wydał mu się olbrzymim, jak świat, i pustym, jak bezmiary, a szpargały, po których łaził, conajmniej wielkości Apeninów... Gdy spojrzał w dół, jak gdyby patrzył z piramidy... Był tak wysoko, że doznał choroby wyżyn — i spadł, jak w przepaść, w szczelinę, pomiędzy straszne foliały...

Obezwładniony upadkiem, leżał bez przytomności, gdy naraz jakieś głosy złowrogie uderzyły słuch jego. Zwierzęta, których dawniej się nie lękał, zbliżały się szybko i groźnie, zbiegając po szafach z piskiem i łomotem. Ten pisk go tak przeraził — był dlań rykiem ogromnym... Dziś w wyobraźni bezbronnego potentata myszy wyglądały tak groźnie, jak dziki lub niedźwiedzie... Oto ukazały się i wpadły drapieżne...

A tymczasem — powoli — z potężnej sieci powrozów spuszczał się z góry, po cichu, olbrzymi, ciemny potwór sześcioręki, żarłoczny wzrok utkwiwszy w nieszczęśliwą ofiarę...

W tej samej chwili, gdy doża ginął śmiercią tragiczną, stał się wypadek, który poruszył całe miasto.

Wspaniały pałac jego zatrząsł się nagle w posadach i jakby gromem podcięty, runął.

V.

Malarz siedział w pracowni i z zadowoleniem przyglądał się jakiejś swej świeżo ukończonej pracy, gdy nagle drzwi się otwarły i wpadła zdyszana Lucyna. Ujrzawszy ją, szybkim ruchem przystawił do ściany i zasłonił kotarą rozpatrywany obraz.

— Słyszałeś, co się dzieje? — zawołała. — Pałac doży się zapadł i pod gruzami zagrzebał władcę. Okropne zniszczenie! Sam gruz i zwaliska!

Usta malarza wykrzywiły się wyrazem trudnym do określenia.

— Lecz jakże ja teraz jestem nieszczęśliwą! Słuchaj! — zaczęła błagać — ty mnie już teraz nie odtrącisz. Po śmierci doży czeka mię nędza zupełna. Nie będę miała już i tej skromnej pensyi, którą mi dawał z łaski. Ty jesteś samotny, zamieszkam u ciebie, będę ci służyła, byleby tylko być z tobą, mistrzu! Nie odtrącaj mnie! Zobacz, nie jestem przecie tak brzydką

i starą, jaką chcą ludzie mnie widzieć... Tu wskazała na twarz swą, pokrytą warstwą kosmetyków, napróżno usiłujących zakryć szpetotę zmarszczek i wykrzywień.

Malarz obojętnie wzruszył ramionami.

— Tak ?! — krzyknęła nerwowo i szybko podbiegłszy do ściany, odsłoniła ukrywany przed nią obraz. — Tak ?!... domyślałam się... To ty jesteś tym sprawcą! Ty jesteś tym strasznym zbrodniarzem!

Obraz przedstawiał zwaliska pałacu doży; te same gruzy, o których przed chwilą mówiła, ujrzała tu namalowanemi z uderzającą dokładnością.

Myśl jasna, jak piorun, przemknęła jej po głowie...

— Ty przyczyną tego wszystkiego! Idę natychmiast i rozgłoszę po mieście!...

— Prawda — rzekł malarz spokojnie — masz zupełną słuszność. To ja zniszczyłem dożę i jego świetny pałac zamieniłem w gruzy. Co więcej — ja znicestwiłem twą piękność, z uroczego dziewczęcia zrobiwszy ohydną, starą jędzę. A to wszystko potęgą mego malarskiego talentu... Lecz uczyniłem to przez miłość do ciebie, Lucyno! Zeszpeciłem cię, by cię wydrzeć temu człowiekowi; i teraz, gdy on już nie żyje, zja-

wia się dla nas obojga możność szczęścia. Jestem w stanie wrócić ci dawną młodość i urodę. Usiądź — oto przygotowane płótno — a namaluję cię jeszcze piękniejszą, niż byłaś. Staniesz się Venus zorzanolicą! Usiądź!...

Kobieta wahała się chwilę, lecz prędko dała się namówić — i rozpromieniona wszedłszy na podyum, podług wskazówek mistrza przybierała pozę.

Mistrz odszedł ku stalugom i wykonał jakiś ruch dziwny, poczem spojrzał na nią. — Szyderczy, trupi uśmiech ust jego zmroził ją i przeraził; jednocześnie poczuła, że ziemia się pod nią osuwa. Chciała się zerwać z siedzenia, ale już było zapóźno... W mgnieniu oka zapadło się podyum pod podłogę — ostry krzyk rozległ się krótko i zagłuchł w głębi otworu.

Za parę chwil wróciło znów podyum na swe zwykłe miejsce; na niem stało to samo krzesło złocone, ale już puste.

Malarz tymczasem przysunął do stalug zwierciadło i długo przypatrywał się własnej twarzy. Następnie wziął pędzle i paletę i zaczął malować.

Mówiliśmy, że w miarę, jak wzrastała złowroga siła jego sztuki, artysta tracił rozgłos. Teraz już nawet wcale o nim nie mówiono. Portrety

jego, imię i pracownia, poszły w niepamięć. Przyszła mu widocznie myśl przekazania potomności, chociażby wspomnienia o sobie portretem własnym, który zamierzył wykonać z całą wiernością i realizmem prawdy.

Szybko warstwami farb wypełniało się płótno. Coraz wyraźniej wynurzała się twarz i cała postać mistrza. Ale w jakiejże formie?!...

Niemowa wszedł z supełkiem, z którego wydostał jakieś przybory malarskie. Wiedziony ciekawością stanął za plecami pana swego i przyglądał się obrazowi...

Lecz oczom swoim nie wierzył...

Niespokojnymi gestami zapytał, co ma przedstawiać malowane dzieło?

Malarz wytłumaczył mu również na migi, że robi swój portret.

Chłopak powlókł obłędnym wzrokiem po płótnie i po swym panu, postał czas jakiś, nie rozumiejąc nic zgoła — lecz wreszcie twarz jego przybrała wyraz zgrozy; chwycił się nagle za głowę i wydawszy dziki krzyk głuchoniemego — wybiegł.

A malarz niewzruszony, wykończał dalej swe dzieło.

Niemowa nie wracał. Przez wiele dni nikt nie zaglądał do pracowni, a malarz nie pokazy-

wał się wcale. Zaniepokojony gospodarz zapukał w końcu do drzwi pracowni. Nie dostał odpowiedzi, — drzwi były zamknięte od wewnątrz.

Gdy zawezwane władze wyłamały je, przedstawiła się oczom rzecz straszna:

Na wysychającym już prawie obrazie, umieszczonym na sztalugach, ujrzano straszliwy, odrażający wizerunek trupa siedzącego, a raczej osuniętego w fotelu, już w stanie rozkładu, oddany z całą realistyczną grozą dokładności.

A tuż naprzeciw malowidła, w tej samej pozie tak samo na pół już zgniłe i zsunięte, siedziały zwłoki strasznego człowieka, łudząco do portretu podobne. Sztywna ręka trzymała jeszcze pędzle; pęknięta na dwoje paleta leżała na ziemi.

Obok stało lustro, które odzwierciadlając tych dwóch umarłych, czyniło efekt tak dziwny, iż nie można było odróżnić, który jest istotnym, a który namalowanym.

Tylko że na portrecie u dołu był niewyraźny, jakby ręką już sztywną nakreślony napis: »*Magia... materia.... mors....*

II

POTWOREK

I.

W pewnem zacnem i dobranem małżeństwie stało się wielkie nieszczęście. Urodziło się nad wyraz brzydkie dziecko. Straszydło w rodzaju tych maszkar, co wyłażą z bagien wśród lasów i wytrzeszczonemi oczyma wodzą dookoła... Coś pośredniego pomiędzy jaszczurką, kameleonem a nietoperzem, — co jeśli nawet przypominało istotę ludzką, to chyba przez ogólną małpiość budowy i ruchów.

Trudno pojąć, jak w porządnej rodzinie mogło się zdarzyć coś podobnego, tembardziej, że byli to wcale dobrze wychowani ludzie, ojciec rozumny i wytworny człowiek, a matka nawet słynęła z urody.

Mały, ohydny, odrażający potwór, z garbem na piersi i plecach, o nóżkach cienkich, ze zrośniętemi nakształt żabiej łapki stopami, o rękach długich niezgrabnych, przyczem prawa posiadała więcej, niż lewa czegoś w rodzaju palców. Najobrzydliwszą była niemożliwie ogro-

mna, na cienkiej szyjce głowa, łysa, bez uszu, w zamian których sterczały dwie szeroko odstające płetwy. Nos przypominał ostry, zaokrąglający się ptasi dziób, i był również twardy, rogowy. Do tego dziwne jakieś i straszne, osadzone jak u pająka oczy, dziwnego koloru i wyrazu, patrzące z pod bezbrwistego czoła w sposób, w jaki żadne stworzenie ziemskie niepatrzy...

Było coś we wzroku tym, co wzbudzało wstręt i obawę, a zarazem zgrozę i litość, — to wszystko czego tak strasznie nie lubią ludzie.

Taki płód łona, gdy pokazano matce, rozchorowała się biedna na nowo. Nie było końca skargom, łzom i ubolewaniom. I jakże można takie dziecko kochać!... Ojciec zastanawiał się nawet, czyby nie należało je utopić, jak niepotrzebne kociątko — ale któżby się zdobył na wykonanie podobnego zamiaru?

Skurczyli się więc we wstydzie nieszczęśliwi rodzice i postanowili otoczyć syna jak najgorliwszą pieczołowitością, w nadziei, że przez staranne wychowanie uda im się go może »odpotworzyć« z biegiem czasu...

Mijały jednak tygodnie, utrapienie rodziców rosło, a nic nieusprawiedliwiało ich błogiej nadziei. Dzieciak brzydł coraz bardziej.

Pocieszali się już tylko myślą, że syn wynagrodzi brzydotę jakąś przynajmniej niezwykłą inteligencyą, albo zaletami charakteru. Gdzie tam! Był on przedewszystkiem fizycznie nad wyraz nieudolnym. W wieku, gdy dzieci już nieźle chodzą i mówią, potworek ledwo umiał utrzymać się w swojem dziecinnem krzesełku, a niebył w stanie wymówić nawet najłatwiejszego pod słońcem słowa (które jest: »pa«...). Naprawdę. Wydawał jakieś dźwięki nieartykułowane, nic z brzmieniem głosu ludzkiego wspólnego mieć niemogące. Ledwo umiał jeść i załatwiać inne, również niezbędne obowiązki. Mógł zresztą długo niejadać i nie sypiał wcale.

Nie umiał nawet drzemać!

Dziwaczny był to rodzaj kreatury jakiejś, niewidzianej jeszcze na świecie, ba, nawet w najobszerniejszych (bo niemieckich) atlasach zoologicznych niemającej miejsca. Zaprawdę to było okropne!

Robiłby wrażenie zupełnego idyoty, gdyby nie ten szczególny wzrok jego, w gruncie rzeczy bezmyślny, ale niepokojący... i gdyby jeszcze nie to, że potworek właściwie i patrzeć nieumiał i na nic nigdy niepatrzył, a widział nawet to wszystko, co działo się za jego pleca-
cami.

mi. Jakgdyby całe ciało jego, niezgrabne i nieudolne, posiadało podniosłą władzę widzenia.

Ale zupełnie dziwnem było, że on nie umiał zdobyć się nawet na to, na co zdobywa się każdy najnieudolniejszy sprzęt pokojowy, ba, każde najprostsze byle ciało fizyczne.

Oto któregoś dnia, bawiąc się w oknie, zapatrzył się w jakąś lecącą przez ulicę muchę, przechylił się nieuważnie i wypadł z drugiego piętra. Matka wydała krzyk przerażenia i, zbiegłszy po schodach z taką szybkością, jakgdyby zamierzała złapać go jeszcze w locie, w jednej chwili znalazła się przed domem, gdzie asfaltowy chodnik i twardy bruk zapowiadały małemu niechybne roztrzaskanie czaszki.

Ale nie znalazła tam dziecka. Czyżby upadek był tak potężny, że malec rozbił się w nicość?!... Lamenty jej ściągnęły zbiegowisko. Szukano długo — bez skutku. Aż wreszcie jakiś fanfaron zadarłszy głowę do góry ujrzał potworka na dachu przeciwległego domu, domu o dwa piętra wyższego, niż ten, z którego wypadł.

Siedział bezradny, zbiedzony i, niewiedząc jak zejść na dół, wydawał ciche kwilenie. Musiano wezwać straż ogniową, by zapomocą bar-

dzo długiej drabiny znieść go z tej wysokości. Potworek nie umiał nawet spadać. Zdarzenie to bardzo zaniepokoiło całą ludność miasta, a tęższe głowy mieszkańców niemal wybiło z równowagi.

Rodzice jednak w skrytości serca teraz zaczęli być nawet trochę dumnymi z syna: to nic, że głupi i brzydki, ale ma w sobie coś, czego inne dzieci nie mają. Zawsze ta sama słabość, u tych starych, nawet dla najniegrzeczniejszego dziecka...

Minęło wiele miesięcy; potworek oprócz jedynej właściwości, że spadał w górę, nic osobliwego nie dokazał i jeszcze ciągle nie umiał chodzić. Aż naraz zdjęła go chęć zerwania z upartem niedołęstwem nóg swoich.

Raz, wieczorem, ku niewymownej radości całego rodzeństwa, wysunął się zwinnie z krzesełka — i poszedł. Wszyscy klasnęli w dłonie. Lecz niedość mu było dokazać tej bardzo trudnej sztuki — tylko pójścia! Rozchodził się tak na dobre, że nie zwrócił uwagi nawet na taką przeszkodę, jaką stanowi w spacerze ściana.... Przebywszy bowiem podłogę, przesadziwszy meble, w dalszym ciągu wszedł na ścianę bez ceremonii i, depcąc po obrazach, dostał się do sufitu, po którym przeszedł głową na dół i z tą

samą swobodą, dalej spuścił się po przeciwległej ścianie i wrócił na dawne miejsce.

Od tego czasu umiał już chodzić, i to dobrze, ale był tak leniwym, że kiedy zaszła potrzeba udania się do sąsiedniego pokoju, to, niechcąc fatygować się obchodzeniem mebli, obierał najkrótszą drogę: prosto przez krzesła, stoły, lampę, kanapę i ścianę przechodził, raczej przenikał, i, zabrawszy rzecz mu potrzebną, w podobny sposób wracał do swego krzesełka.

Było już w tem stanowczo coś niesamowitego!

Ojciec i matka, jak pierwej cieszyli się z osobliwych uzdolnień syna, tak teraz zaczynali bać się, czy aby tylko w tem nie tkwiło coś z istoty złego?... Znajomych oburzała herezya takich zjawisk, i dom powoli opustoszał z przyjaciół. Zażądano nawet wyraźnie ze strony poważniejszej opinii, by rodzice gorszącym wybrykom potworka stanowczy położyli koniec. Cóż jednak mogli na to poradzić rodzice? Nie mogli przecież go na nowo przetworzyć...

Towarzystwa dobrego nie lubił, a Bóg wie jakie utrzymywał stosunki, i to nawet nie z ludźmi... Nieraz w nocy wybierał się na wizyty, lecz dokąd i do kogo, radzę lepiej się nie domyślać. Czasami urządzał przyjęcia w swoim małym

pokoiku, na które schodzili się (i to wcale nie drzwiami) jacyś nad wyraz podejrzani goście. Podobno spraszać miał na libacyę do siebie błędne ogniki, niestworzone straszydła z błot i ruin i fosforyczne gwiazdy z mogilników....

To pewna, że wizyty mu składał nawet sam księżyc. I potworek wybornie czuł się i bawił w tem niedobranem gronie przyjaciół.

Przypuśćmy, że jest nieco przesady w opowiadaniach, musiało jednak dziać się tam istotnie coś nadzwyczajnego, gdyż przez szpary okiennic i przez dziurkę od klucza, widywano w pokoju jakieś dziwne, nienaturalne światło.

II.

I ludzie go nie lubili. Tylko jedna osoba w domu nie miała do niego wstrętu. Była to Lala, wcale niebrzydka dwunastoletnia dziewczynka, daleka krewna jego rodziców, którą chowano jak córkę. Lali bardzo podobał się potworek. Nazywała go kochanym braciszkiem i całowała jego obrzydliwą, raczą głowę i żabie ohydne usta.

Lalę wprawiało w podziw wszystko cokolwiek »braciszek« jej mądrego lub niemądrego zrobił.

Potworek również, chociaż nie umiał wznieść się nietylko do uczucia miłości, lecz nawet i do zwykłego lubienia, okazywał jej coś w rodzaju sympatyi czy wdzięczności. Bawił się z nią, śmiesząc dziewczynkę zabawnemi grymasami, które z jego odrażającej twarzy komicznością swoją tworzyły coś prawie nawet nie niemiłego. Znosił jej osobliwe podarki, w rodzaju naprzykład ropuchy, rzadkiego bardzo okazu i niepa-

chnącej nadwyraz, lub jabłka wielkiego jak dynia, zgniłego i pełnego robaków. Lecz nigdy nie przyniósł kwiatka, lalki chociażby gutaperkowej, albo papierowego pajaca, którym tak lubią bawić się dziewczynki, pociągając za nitkę i wprawiając w ruch jego ręce i nogi. Mimo to Lala czuła się zawsze prawdziwie uszczęśliwioną z każdego prezentu potworka.

Chłopak już dobrze chodził i biegał i naraz zaczął mówić jak Demostenes. Czas było zabrać się do nauki. Abecadło, jeżeli nierozgarnie tępego umysłu, to może wpłynąć przynajmniej, rozumowali rodzice, na przytępienie gorszących władz i wykorzenić niebezpieczne talenta. Wzięto więc guwernera. Nauka szła bardzo opornie. Powodem było wyjątkowe lenistwo i wyjątkowa zarozumiałość chłopca. Twierdził on, że nie czytając wie, co każda książka zawiera. Zwrócono się zatem do profesora uniwersytetu, który był nawet przez rok rektorem, a gdy i »magnificencya« nie dał rady, poproszono sławnego astronoma z Berlina, by go nauczył rachunków.

Lecz nie było sposobu wytłumaczyć chłopakowi nawet tej prostej prawdy, że dwa a dwa — cztery. Podług kalkulacyi potworka wypadało coś całkiem niezrozumiałego. Gdy jednak sławny astronom z niezaprzeczoną jasnością, jak

łopatą, wkładał mu do głowy pierwsze zasady arytmetyki, krnąbrny malec, który słuchał niechętny i niezważał na świetność tych wywodów, zerwał się nagle z niecierpliwością i zawołał:

— Nie nudź mnie pan już więcej, panie profesorze, a za to pokażę ci, gdzie znajduje się gwiazda, nad której szukaniem ślęczysz tyle lat, patrząc w soczewki teleskopu lub gubiąc się w cyfrach twojej zawiłej wiedzy. Oto tam! — rzekł, wskazując palcem w pewną stronę nieba. — Skieruj lunetę tam i tam (tu dał potrzebne naukowe wyjaśnienia w wybornej terminologii).

Niegrzeczność ta ubodła mocno astronoma. Wyszedł gniewny, oburzony. Ale wieczorem ustawił odpowiednio teleskop — i dokonał wielkiego odkrycia, które zjednało mu rozgłośną na obu półkulach ziemskich sławę.

I nikt na globie całym się nie domyślał, że to było odkrycie nie przesławnego uczonego, ale jakiegoś potworka....

A ponieważ potworek miał na sumieniu niejedną podobną sprawkę, cóż więc dziwnego, że go tak nielubili ludzie. Trudno zresztą byłoby się zdobyć na wyraźnie zdeklarowane przeciw niemu uczucie. Wzbudzał wstręt, ale i podziw, po-

gardę i przerażenie. Lekceważono go i jednocześnie uznawano pewną jego wyższość. Najgorzej, że nie wiedziano, do jakiej kategoryi stworzeń go zaliczyć, jak zarejestrować w urzędzie. Był czemś, co urągało wszystkim zdrowo ustalonym pojęciom świata, logicznemu patrzeniu na rzeczy, przyjętym zwyczajom ludzi, zwierząt, ba natury samej, bo zasadom fizyki, a zresztą zdrowemu sensowi.

Sam fakt istnienia czegoś podobnie zwyrodniałego stawał się wysoce demoralizującym.

W naszej epoce, mówiono, i w naszych warunkach, kiedy należy pracować i myśleć o społeczeństwie, niema czasu do zastanawiania się nad podobnymi wybrykami natury. W kraju, gdzie potrzebni są obywatele poważni, realnie myślący, niema miejsca na podobne fantastyczne twory.

Więc poważni mężowie odbyli walną naradę, na której postanowili raz skończyć z tą niepotrzebną zawadą w normalnym toku zjawisk.

Za skromną zapłatą wynajęto kilku drabów potężnych i dano im odpowiednie zlecenie. Zbóje ci pewnej nocy cichaczem wkradli się do pokoju, gdzie znajdował się potworek, podeszli do jego dziecinnego łóżeczka i podnieśli do góry swoje długie rzeźnickie noże, aby wykonać czyn,

przypominający piękny epizod z historyi o wielkim rzymianinie.

Potworek widział ich, ale się nie poruszył, leżał otulony kołdrą i tylko patrzył szeroko otwartemi oczyma. I oto zbóje spotkali wzrok jego — wzrok taki dziwny i taki straszny, ale to tak okropnie straszny, że noże im z rąk powypadały. Zadrżeli, zlękli się i pouciekali. Lecz co we wzroku potworka tak przeraziło bandytów? Nie to, by odeń biła jakaś moc demoniczna, jakiś złowieszczy gniew lub piorunująca groźba. Potworek patrzył spokojnie, z ufnością, rzewnie nieomal, obojętnie i z zupełnem poddaniem się oczekiwał śmiertelnego ciosu. Do tego spojrzenie to łagodne i nieco szydercze miało w sobie coś tak cichego i dobrotliwego, a więc coś tak strasznego, że tego niemogli znieść nawet siepacze.

Może to było tak, ale nie na tem koniec.

III.

Istnieje fantastyczny, tajemniczy ludek, zwany pospolicie gnomami. Siedli się on po krecich norach i dziupłach starych dębów, chociaż w szczelinach skał buduje swe najważniejsze miasta. Jest to naród garbusków, niezwykle brzydkich i zabawnych; każdy wzrostu małej łasicy. Nie widuje się gnomów w dzień bo się chowają i nigdy nie wychodzą na słońce, jak to przeciwnie czynią miłe i grzeczne jaszczureczki. Za to w nocy gnomy wychodzą na światło księżyca, starając się jednak nigdy nie pokazywać ludziom. I trudno bardzo zobaczyć gnoma żywego, a nawet i nieżywego, bo z chwilą śmierci każdy z nich przemienia się w zdechłego szczura. Widzieliście może czasem jak kotka pogoni za czemś, co dojrzała w ciemności, i wróci następnie z nieżywym szczurem w zębach, którego jednak jeść nie chce?

To właśnie być musi jakiś uduszony przez nią gnomik, który się tak przeistoczył, a mięso

jego nawet w postaci szczurzego nie smakuje kotce. Widocznie jest gnom nazbyt złą istotą, ażeby mógł być smacznym....

Bo i mówiąc naprawdę, ten naród gnomów, to bardzo ladajaki naród; prowadzi najniemoralniejsze życie, pije, popełnia same łajdactwa. Gdzie mogą, na każdym kroku psocą oni wszystkim i wszystkiemu. Żyją z kradzieży samej. Ściągają ze spiżarni ser, kaszkę i słoninę, a winę nieuczciwie składają na biedne zahukane myszki. Jeżeli zaś czasem uda im się rzucić poszlaki na służącą, to pobrawszy się za ręce tańczą z radości i zaśmiewają się do rozpuku. Motylom i ćmom nocnym obrywają skrzydełka i przerabiają je na wachlarze dla swoich kochanek, które gdybyż przynajmniej były wiernemi małżonkami, lecz gdzie tam — pożal się Boże, — są to garbate i koszlawe małe ladacznice!...

Rząd gnomów, za uchwałą narodu, pertraktuje z szarańczą, wchodzi w konszachty z gąsienicami, wskazując im drogę ku najzdrowszym drzewom. Najbardziej jednak ulubionem zajęciem tych psotników, jest zakradanie się w zalążki owocowych pączków i wydmuchiwanie zarodków. Cieszy ich, że sprawiają ludziom niespodziankę z pustokwiatu, biedną roślinkę

pozbawiając długo i z tęsknotą oczekiwanego potomstwa.

Ponieważ robią z nocy dzień, przeto i zwyczaje ich są od ludzkich inne. Wszystko jest u nich naodwrót. Gdy wszędzie obierają królem najlepszego i najpiękniejszego z obywateli, — u nich król powinien być najgorszym i najbrzydszym z całego królestwa. Chodzi im też bardzo i o to, żeby jaknajgorzej rządził.

Właśnie podówczas zmarł był (jak zwykle — nienaturalną śmiercią), straszny, pleśniobrody, Migdał II, Wielki. Nieboszczyk słynął z tak strasznej brzydoty, że narazie, z powodu trudności znalezienia w narodzie równie poczwarnego kandydata, tron pozostawał niezajęty. Na wszystkie więc strony świata, do karłów, monstrów, chimer, straszydeł rozesłano gońców w poszukiwaniu odpowiedniej chociażby w przybliżeniu osoby.

A słysząc, że potworek uchodził za najobrzydliwsze na ziemi stworzenie, zawitało poselstwo i do niego, kłaniając się nizko i prosząc o przyjęcie korony.

I potworek został królem gnomów.

Mówiliśmy, że snu niepotrzebował, więc panowanie nocne nie było dlań uciążliwem. Jako władca świetnie wywiązywał się z zadania.

Rządził tak właśnie, jak tego chciano. Nie było dnia, t. j. nocy, by nie skazał paru poddanych na powieszenie za nogę na sęczku łodygi ostu lub na przygwożdżenie za ucho do pokrzywowego listka, wprowadzając przez to upragniony w państwie nieporządek. Był więc uznanym za największego z monarchów, któremi się historya gnomów szczyci.

Nie śmiał się potworek nigdy, a zdawało się, że nie umie i płakać. Ale któregoś dnia, przyjazna mu zawsze Lala ujrzała go skulonego w kącie pokoju, w pozie zupełnej rozpaczy. Duże łzy, jak groch, toczyły mu się po twarzy. Pełna współczucia, zaczęła go pocieszać. On zaś jęczał tylko i narzekał: »straszne, straszne nieszczęście!«...

— Co ci się stało, mój drogi braciszku? — pytała tkliwie.

— Nieszczęście, którego ogromu ty nie potrafisz zrozumieć! Dowiedziałem się, z niezaprzeczonych źródeł, że Minocearosowi nie sądzonem jest nigdy zejść się z Helioterperosem!!...

Lala chociaż istotnie nie rozumiała tego nieszczęścia, jednak, ponieważ kochała potworka, odczuła cały jego ogrom...

— Uspokój się — prosiła, tuląc go do siebie, może się oni jeszcze i zejdą z czasem....

A wiesz co? ja mam wyborny środek na melancholię: spróbuj tylko parę razy z rzędu powtórzyć moje imię, to zaraz poweselejesz.

Powtórzywszy parę razy la-la-la-la, roześmiał się potworek, i istotnie zrobiło mu się weselej.

I stąd pochodzi zwyczaj, że kiedy bywa nam wesoło, a jesteśmy muzykalni, to nucimy sobie pod nosem: la-la-la-la... itd.

IV.

Może to było tak. I dlatego właśnie całe duże miasto, złożone z ludzi logicznie myślących, nie mogąc sobie poradzić z takiemi niedorzecznościami, niemogąc potworka ani przerobić, ani umorzyć, postanowiło nareszcie na inny sposób go zniszczyć, a mianowicie — zupełnem nieuznaniem. Zaczęto nie uznawać ani jego osoby, ani nic z tego, cokolwiek on zwykłego lub niezwykłego uczynił, tak, jakby go nie było wcale na świecie.

Był to sposób niezgorszy — lecz dla inteligencyi. Natomiast lud prosty, który też o potworku słyszał, a który też myśli logicznie i zdrowo, uderzony jego dziwnemi czynami, zaczął w prostocie ducha zastanawiać się: »Czy to aby tylko czasem nie nowy jaki święty, albo prorok, broń Boże!«...

Zaczęli więc po wsiach gromadzić się ludziska i wreszcie wielotysięcznym tłumem, z wójtem na czele, pociągnęli ku miastu, przed dom,

gdzie mieszkał potworek. Gdy wyszedł na ich spotkanie, zaczęli go prosić, by ich nauczył tego wszystkiego, co sam umie, a coby i im też przydać się mogło, i co w ich trzeźwym umyśle przedstawiało się mniej więcej w taki sposób: »nie siejąc zbierać«, »bez pracy jeść kołacze« i t. p.

Potworek, wysłuchawszy pięknej oracyi wójtowej, popatrzył uważnie na zebranych, pomyślał chwilę i nic nie mówiąc odwrócił się od nich — i poszedł.

Gromada sądząc, że poszedł po odpowiedź, długo na nią czekała. Lecz, gdy się nie doczekano, rozeszli się do chat ludziska, z frasunkiem skrobiąc się po głowach.

I potworek nie został prorokiem.

Jak poszedł, tak już go więcej nie widziano, znikł i z nikim nawet się nie pożegnał na odchodnem. Lalusia tylko kiedyś z rana, znalazła pod poduszką jakiś dziwaczny przedmiot, pochodzący zapewne od potworka, jakieś cacko z dziurką, z którem nie wiedziała co robić. Pocieszało ją jednak w smutku rozstania, że braciszek nie zapomniał o niej przed wyjazdem.

Przez pewien czas dziwiono się w mieście nieobecności potworka, lecz prędko zapomniano o nim.

Rodzicom jego nowe i całkiem ładne zaczęły rodzić się dzieci. I wszystko dalej szło torem zwyczajnym, jak iść powinno w porządnem życiu u porządnych ludzi.

I tylko czasem dochodziły głuche o potworku wieści, w rodzaju tej na przykład, że marynarze pewnego handlowego statku ujrzeli jakieś, podobne do niego z opisu, straszydło, które, ni stąd ni z owąd wynurzywszy się z morza, wdrapało się na okręt i usiadło na poręczy. Zlękli się bardzo i nie śmieli go ruszać. Widzieli w tem złą wróżbę i spodziewali się wielkiego nieszczęścia, zwłaszcza, że siedziało »to« w miejscu, gdzie ukazują się ognie Ś-go Elma... a może nawet i nie w tem miejscu.... I stało się jeszcze dziwniej, zjawisko nie zapowiadało nic zgoła. Okręt spokojnie zawinął do portu.

Wieśniacy zaś utrzymywali, że Potworek w dniu, gdy nie został prorokiem, »poszedł ze świata«. Podobno szedł póty przed siebie, aż dotarł do miejsca, gdzie niebo styka się z ziemią, stamtąd wszedł na niebiosa, jak dawniej na ścianę i sufit i niebiosami doszedł do księżyca. Widziano go, jak siedział na księżycu, niby duży czarny nietoperz, i jak nagle spadł z błyskawiczną szybkością. Lecz podług jednych spadał głową w dół, w kierunku ziemi, podług

innych zaś (i teraz jeszcze nieumiejąc spadać), pomknął gdzieś głową w górę, w głąb tej nieskończoności — co ponad księżycem...

Wreszcie i nad tem już się nie zastanawiano. Potworek wypadł z pamięci ludzkiej (też niewiadomo w którą stronę...) — tak, że dziś nikt z tych, co go osobiście nie znali, nie uwierzyłby zapewnieniom najlepszego swego przyjaciela, że mógł istnieć kiedyś na świecie podobny dziwoląg — zjawisko tembardziej nie do uwierzenia — bo możecie mi wierzyć na słowo, iż z żadnym z gnomów nie był on w dalekiem nawet pokrewieństwie.....

III

BAJKA O BAJCE

I.

W krainie śniegów na dalekiej północy, gdzie przez długie miesiące panują mrok i chłody, gdzie ziemia jest najdalszą od słońca a najbliższą gwiazdy polarnej, leżało miasto Jurt.

Było to miasto ubogie, lecz ludne, jak inne miasta innych krajów, a wyglądało samotnie na głuchem śnieżnem pustkowiu.

Długim szeregiem ciągnęły się dymne jurty, podobne do wojennych namiotów, sylwetkami jednostajnemi odbijając ponuro na białej płaszczyźnie i na szarem zasmuconem mgłami niebie.

Mieszkańcy Jurt byli to ludzie prości i ubodzy, więcej milczący niż gadatliwi; ubierali się szaro, a zamiast koni wprzęgali do sanek psy i renifery.

Co pewien czas Eskimosi (tak nazywano ten naród) rozjeżdżali się w różne strony za poszukiwaniem żywności, i wówczas w mieście ich panowała cisza. Za to gdy powracali, z ukaza-

niem się na tle czerwonem nieba krzaczastych rogów pierwszego renifera, budziło się miasto całe. Wówczas gwarem powitań i radosnych okrzyków, ciemnemi postaciami ubranych w futra ludzi i dobrych zwierząt — zaczynało się roić dookoła Jurt i biło zewsząd życie, rzeźkość i wesołość.'

Ale najlepiej w jurtach czas spędzano, gdy po wieczerzy, wkoło rozłożonego ogniska, rozsiadywały się gromadki domowników zażywających wczasu po trudach, marząc, pomrukując wesoło i opowiadając przeróżne dziwne, niestworzone dzieje.

Dziwne, niestworzone dzieje — były to wieści z Bajki. A że kraj Jurt, o którym mowa, był jednem z królestw najbliżej z nią sąsiadujących, przeto najłatwiej tam, najprędzej i najswobodniej zalatywały echa z czarodziejskich ustroni, zachowujące całą świeżość i woń ogrodów Bajki: Mroźny wiatr niemiał jeszcze czasu pozwiewać ich nieziemskiego tchnienia. Echa te zapadając w serca ludzkie, odzywały w nich wielokrotnie i grały, i powtarzane przez usta budziły w duszach coraz to słodsze marzenia.

Nigdzie może na świecie nie słyszano tylu i tak przedziwnych opowieści, ile krążyło ich tu w dusznych jurtach, razem z kłębiącym się

dymem ogniska. Nigdzie też nie słuchano ich w takiem zamyśleniu poważnem i w takiem głębokiem skupieniu.

Był jeden człowiek, który najpilniej i najuważniej słuchał tych opowiadań. Był to syn króla Jurt. Królewiczowi tak podobało się to, co słyszał o tajemniczem królestwie i co sam o niem dosnuwał w marzeniach, że wkrótce przestało mu wystarczać już tylko słuchanie o przecudnych, dziejących się w Bajce rzeczach, on zaczął także tęsknić do samej Bajki, pragnąc na żywe oczy cuda jej oglądać.

Marzył: jakby to się tam dostać do tej dziwnej krainy; jakby tam wejść i zamieszkać. Nareszcie zdobywszy się na śmiałe postanowienie, przedsięwziął tajemniczą podróż....

— Pojadę — rzekł do siebie, i zaprzągłszy do sanek dwa najpiękniejsze ze stajni królewskiej renifery, pożegnał się z najbliższymi, mówiąc, że wybiera się w daleką drogę i może nie prędko wróci, wsiadł w sanie, okryty bogatemi futrami — i pojechał...

Znanym był z tego, że nieraz urządzał tajemnicze wyprawy, trwające długo i wracał czasem z obfitą zdobyczą a czasem z pustemi sankami, nigny nie mówiąc skąd wraca. I teraz go nie pytano dokąd jedzie. Sędziwy król tylko

domyślając się, że o jakąś niezwykłą tym razem idzie podróż, tkliwiej go żegnał i błogosławił na drogę.

Królewicz jechał do Bajki...

Lecz chociaż wiedział, że się znajduje w bliskości czarodziejskiego kraju, nie miał wyobrażenia gdzie ten kraj leży i nie wiedział nawet w jakim ma jechać kierunku.

— Pojadę — rzekł — w stronę, w którą ludzie niejeżdżą po zdobycz.

Mieszkańcy Jurt, chociaż we wszystkich kierunkach zapuszczali się szukając żywności, nigdy jednak nie jeździli w pewną wiadomą stronę, wiedząc z doświadczenia lub z opowiadań, że tam żywności nie znajdą, że tam »nic niema«. — Pojadę w tym właśnie kierunku w którym ludzie nie znajdują zdobyczy, może tam właśnie leży to, czego nie szukają oni...

Jechał już długo, a nie natrafił na nic. Nic, oprócz gołej, ponurej, w nieskończoność roztaczającej się płaszczyzny... Nie ujrzał nawet żadnego ptaka lub śladu jakiego zwierza. Mimo to nie skorym będąc do zwątpień, zaczął uporczywie rozmyślać nad sposobem dopięcia celu; i kiedy znużony próżnem rozmyślaniem nie znalazł sposobu, a wiele czasu już upłynęło w podróży i zmęczenie zaczęło wyczerpywać siły —

postanowił powierzyć los swój instynktowi renów...

— Niech łagodne zwierzęta same poszukają drogi. Instynkt zwierząt niekiedy może więcej dokonać, niż rozum najmędrszych ludzi — pomyślał sobie. Zresztą wierzył on jeszcze i w to, w co powszechnie wierzono o renach w jego ojczyźnie: renifer dlatego jest najlepszem na ziemi zwierzęciem, że w nim pokutuje dusza dobrej, życzliwej światu wróżki. Dlatego też mają te miłe stworzenia oczy tak łagodne i patrzące wymownym ludzkim wzrokiem. Dlatego też one, gdy spotka człowieka nieszczęście, płaczą ludzkiemi łzami...

I reny jak gdyby w odpowiedzi na myśl jego, szarpnęły nagle saniami i pomknęły z szybkością wiatru lub strzały... Czy dobrze uczynił, zdając się na ich łaskę, zobaczymy niebawem.

Nie domyślano się w dymnej osadzie, dokąd pojechał królewicz. Zresztą gdyby i wiedziano dokąd, niktby z pewnością się tam nie zdziwił tą osobliwą wyprawą, gdyż byli to ludzie prości, gotowi wierzyć w możliwość powodzenia i najtrudniejszych przedsięwzięć; a chociaż nie każdy z nich byłby się może zdobył na podróż tak ryzykowną, to jednak w pomyśle królewicza widzieliby oni rzecz naturalną i prostą. Po-

kiwanoby tylko głowami, porozmawiano w cichości i każdy powróciłby znowu do swych zwykłych myśli....

Jednakże w niepokoju o los niewiadomo dokąd wybierającego się podróżnika lub może tylko przez ciekawość, dwóch ludzi puściło się w ślad za nim na nartach. Jeden po śladach sanek zapuścił się bardzo daleko, i kiedy ślady już znikły, jechał jeszcze długo w tę samą stronę, i w końcu nabrał przeświadczenia, że tam stanowczo »nic niema«....

Wrócił więc z niczem do domu i jeszcze gorzej niż z niczem, bo po drodze znalazł zamarznięte zwłoki towarzysza, który był też wyruszył w pościg za królewiczem. Zabrawszy tedy zwłoki nieszczęśliwego, odwiózł je do osady.

Wkrótce wróciły i reny, a z nimi puste sanki, na których leżały tylko futra i wierzchnie okrycie. Zwierzęta naturalnie nie mogły powiedzieć, skąd wracają i co się z ich panem stało...

Pomyślano w Jurtach, że królewicz zginął, lecz nie mając zupełnej pewności tego, liczono jeszcze na możliwość jego powrotu.

Reny odprowadzono do stajni. Naraz zrobiło się w niej widno od jakiegoś niepojętego światła — i w miejscu zwierząt u sanek ukazały się dwie przeurocze wróżki, (które widocznie już

wypełniły swe posłannictwo i zostały odczarowane). Wróżki z uśmiechem na twarzy, zatrzepotawszy motylemi skrzydełkami, uniosły się w górę i znikły w ciemnych przestworach.

Pewien chłopak tylko, znajdujący się wówczas w stajni, przez sen widział te wróżki i słyszał, jak odlatując wyrzekły:

— Jesteśmy dobre i radosne wróżki. Nie chcąc czynić uszczerbku stadninie króla, a zmuszone ją porzucić, nadajemy tym sankom, któremiśmy wiozły człowieka do krainy szczęścia, czarodziejską władzę. Kto potrafi odgadnąć jaka to jest władza — ten z niej skorzysta i będzie bardzo szczęśliwym. To wynagrodzi krzywdę, którą przez odejście nasze wyrządzamy śmiertelnym«.

Chłopak, po obudzeniu się, już nie pamiętał o tem, co przez sen był ujrzał i usłyszał; a jeżeli kiedyś potem i przypomniał — to jako sen zwykły, któremu jak innym snom swoim nie nadawał szczególnego znaczenia.

II.

Odważny królewicz państwa Jurt, zdawszy się na łaskę losu, spokojny jechał dalej, — długo, długo — bez końca. Aż wyczerpany znużeniem, zapadł w sen ciężki, do omdlenia podobny. W śnie majaczyło mu się chwilami, że to wcale nie reny, lecz jakieś orły ogniste unoszą go ponad mrokami północy, że przelatuje nad jakiem ciemnem, międzylodowcowem morzem, przez straszne huragany śnieżne, że szybując tuż pod samemi gwiazdami, widzi, jak z ziemi podnoszą się jakieś białe potwory, chcące dosięgnąć go i rozszarpać ostrymi kłami, które wyszczerzały, podnosząc z wyciem ku górze swe podłużne, przerażające paszcze... Jak długo spał tak, nie wiedział.

Zbudziło go nagłe zatrzymanie się sanek. Reny stanęły, niechcąc jechać dalej. Pogoda była prześliczna. Ze zdziwieniem spostrzegł, że na śniegu, tuż przy nim, kwitną jakieś dziwne,

tajemniczego koloru kwiaty... i że dalej jest ich więcej... Zaciekawiony, wysiadł i pochylił się, zrywając nieśmiało jeden z nich, najskromniejszy. Był to pierwszy uszczknięty przez niego kwiat z Bajki, a miał woń tak upajającą, że wędrowiec zapomniał o renach i szedł dalej, spotykając coraz to nowe i coraz piękniejsze okazy...

Tymczasem zwierzęta już zawróciły i odjechały, oglądając się smętnie za siebie, jakby żałując, że im nie wolno tu pozostać dłużej.

Idąc tak ciągle za kwiatami, spostrzegał królewicz, że dokoła coraz to gęściej robi się od ich różnowzorych płatków i coraz barwniej wygląda równina. Potem, śnieg całkiem już był przykryty jakby dywanem z kwiatowego puchu; a nareszcie już wcale śniegu nie było, a tylko wonna zieloność łąk i tajemnicze jakieś lilie, konwalie, mirty... W pobliżu, szemrząc, przepływał kryształowy strumyczek, z którego dna przeświecał srebrny piasek i perły wielkości włoskiego orzecha.

Przeleciał bąk złoty i długo po nim w powietrzu trwała melodya tworzona ruchem jego harfowych skrzydełek.

Przez strumień biegł lekki mostek z róż i powoju. Wszystko skąpane było w jakimś ciepłym, perłowo-różanym brzasku, i to półświatło poety-

cznemu krajobrazowi nadawało jeszcze więcej fantastycznego czaru.

Przebywszy mostek, podróżny jeszcze piękniejsze oglądał widoki. Z malachitowych wzgórz spadając, potok tworzył tęczową kaskadę: pył pian milionobarwny unosił się nad zielenią dolin i szumiał muzycznie, napawając powietrze przeroskoszną symfonią, złożoną z dźwięków, świeżości i upajającej woni...

Cienista droga nęciła w gąszcza drzew tak olbrzymich, że zdawało się, iż wierzchołkami dotykają nieba — drzew dziwnie zielonych i rozłożystych, o pniach ze srebra i złotych gałęziach. — A między krzakami wysokich paproci, wszystkich wiecznie kwitnących i nieodkwitających błękitnymi kwiatkami szczęścia (tak napróżno poszukiwanymi na ziemi) tu i tam przesnuwały się wyżykowate i jakby żywe, ruchome ścieżynki, (które istotnie same się poruszały i biegły). Udał się jedną z nich... Las cały śpiewał tysiącami nawołujących się wzajem ech i głosów, pomiędzy którymi to stąd, to zowąd podróżnikowi się wydawało, że ktoś nad wyraz drogi woła nań po imieniu...

Wreszcie zarośla się rozchyliły, odsłaniając wesołą szmaragdową dolinkę, na której tonąc

w kwiecistych kląbach i zieleni, ukazał się pałac, iście królewski.

Z pałacu wychodził mężczyzna o szlachetnej twarzy i bardzo pięknie ubrany. Gdy ujrzał królewicza podążył ku niemu, i spojrzawszy mu w oczy jak dobremu przyjacielowi, przemówił z serdeczną swobodą:

— Widzę, że jesteś bardzo znużony podróżą, wędrowcze! Więc jeśli chcesz spocząć, to wejdź proszę i rozgość się u nas.

To mówiąc, ujął go śmiało za rękę i powiódł uprzejmie ku pałacowi. Jak zewnątrz pałac imponował okazałością, tak trudno byłoby się nie dziwić urządzeniom wnętrza tego budynku, który stanął przez czary — z jakiegoś niepojętego materyału. Dość, jeśli powiem, że dywany na ścianach wiszące utkane były z tych migotliwych arabesków, które na szybach okien w noc letnią tworzy cień liści kasztanów i drżący blask księżyca. Widocznie duchy wietrzyków cudem jakimś zdołały pozdejmować z szyb te nieuchwytne desenie, a pracowite sylfy nauczyły się pleść z nich kobierce....

Na uprzejme zaproszenie rozsiadł się gość na wspaniałych kobiercach, i kiedy ochłonąwszy nieco ze zdziwienia, chciał zebrać myśli, zdumienie jego jeszcze się wzmogło. Oto zasłony

z powietrznego jedwabiu się rozchyliły i do komnaty weszło grono pań prawdziwie pięknych i uroczych. Wszystkie one podeszły do gościa i witając go najuprzejmiej z całą serdecznością rozpytywać jęły o rzeczy, o które tylko najbliżsi ludzie rozpytywać zwykli. Przyjmowano go tak, jak się przyjmuje jakiegoś drogiego bardzo i bardzo dawno oczekiwanego brata. Zachwycony gościną cieszył się wędrowiec, że tak dobrze trafił i nieszczędząc podzięki za uprzejmość gospodarzom, wychwalać zaczął wszystko, co w ich kraju widział.

Wkońcu jednak nie mógł się powstrzymać od zapytania, wyrażającego pewne zdziwienie:

— Prawdziwie rad i wdzięczny jestem za waszą dobroć dla mnie. Lecz powiedzcie mi, proszę, czemu przypisać mam tę tak nadzwyczajną gościnność, jaką okazujecie mnie, człowiekowi obcemu, który nieznany i niezapowiedziany poraz pierwszy do was przybywa? U nas, choć z dużej gościnności chlubi się moja ojczyzna, nie tak łatwo się oswajają z każdym obcym przybyszem i odrazu nie okazują mu zaufania?...

— Nic w tem dziwnego — odparła mu jedna z królewien, wyglądająca na najstarszą — że obyczaje wasze od tutejszych się różnią, na-

wet w pojęciu gościnności, z której wiem, że słynie twoja ojczyzna. Wszak jesteś w kraju zupełnie odmiennym... Jesteś w Bajce. Jesteś gościem naszym i przez to samo stałeś się nam jak blizki krewny drogim. Więc jeśli ci miłą gościna, pozostań tak długo, jak ci się tylko spodoba. Teraz i ty nam z zaufaniem opowiedz wszystko, co cię najbardziej dotyczy i obchodzi. Lecz wprzódy przyjm posiłek, gdyż jesteś zapewne głodny i spragniony.

Spożywszy wieczerzę, po krótkiej przyjemnej pogawędce udał się podróżny na spoczynek i zasnął snem szczęśliwego człowieka.

Cieszył się bardzo, że przyjechał tutaj, i że na tak dobrych natrafił ludzi. W ich miłem nad wyraz i wesołem towarzystwie spędzał czas na poetycznych rozmowach, uroczych spacerach i innego rodzaju najprzyjemniejszych rozrywkach. A już i samo oglądanie niewyczerpanych cudów tego kraju wiele prawdziwej dostarczało rozkoszy.

Kiedy doznawał głodu, niewidzialne ręce znosiły bogate stoły-samokarmy, zastawione potrawami, które umieją przyrządzić tylko kucharze z Bajki. Lecz najbardziej smakował mu czerstwy chleb, przypominający smakiem ten, który się jada w dzieciństwie. Był to chleb szczęścia,

który miał tę własność, że spożywający go nie ulegają żadnym chorobom. I nikt go nigdy nie jadał ze łzami...

W wykwintnych naczyniach krysztalił się przedziwny napój — najczystsza i najświeższa w świecie woda źródlana. Pił ją z rozkoszą tem większą, iż mówiono mu, że pijący tę wodę nigdy się nie starzeje. Była to owa właśnie poszukiwana przez ludzi woda żywa, woda młodości i pogodnego losu. Nie starzeje się pijący ją, bo życie jego od niej staje się tak świeżem i czystem, jak ów zdrój zwierciadlany, z którego czerpią wróżki do złotych konewek.

Kiedy snu pragnął, przylatywały wiotkie, przymróżono-okie sylfy przecudne, wróżki małe, urodzone z kwiatów, i z kołysaniem unosiły go do zacisznej alkowy, i tam czuwały nad śpiącym, nasyłając czarowne widzenia. Więc kiedy zmróżył powieki — natychmiast znalazł się w przesłodkiej krainie snów i marzeń, cudownościami swemi przypominającej bajkę; a kiedy oczy otwierał — to miał przed sobą na jawie poetyczne otoczenie bajki, fantastycznością swoją przypominającej sny i marzenia...

Minęło dni parę. Królewiczowi naszemu było tak dobrze, iż im dłużej tu pozostawał, tem dłużej jeszcze chciało się zostać. Przypomniał

jednak sobie, że obowiązkiem jego jest postarać się być przedstawionym tutejszemu monarsze. Rzekł więc do towarzyszy:

— Jesteście tak układni w obejściu, szlachetni w rysach i piękni, że ze wszystkiego wnoszę, iżeście dziećmi tutejszego króla. Goszczę, widocznie, na stołecznym dworze. Czybym niemógł dostąpić zaszczytu poznania jego królewskiej mości? Pragnąłbym bardzo, sam będąc synem monarchy, pośpieszyć doń ze złożeniem należnego hołdu od siebie i pozdrowienia od mego sędziwego ojca. Zaprowadźcie mnie, jeśli łaska, przed majestat.

— Każdy z nas jest królem — odrzekł jeden z towarzyszy; — a raczej, wszyscy jesteśmy królewiczami... W Bajce są tylko sami królewicze i królewne....

— Nie zrozumieliście mnie, ja chciałbym widzieć tego panującego, co jest nad wszystkich wyższy w kraju, co włada i rozkazuje poddanym.

— Nasz ojciec nie panuje i nie rozkazuje nikomu. Tu niema takiego, o jakim myślisz, władcy. Tu wszyscy jesteśmy wolni i szczęśliwi....

— Jeżeli tak, to nie musi chyba być ładu

w waszem królestwie i wielkiego porządku, bo jakże może istnieć państwo bez najwyższej władzy?

— Widzisz, my nie jesteśmy właściwie w żadnem państwie.... To nie jest państwo — to Bajka. Sam przekonałeś się jednak, że mimo to jest nam dobrze i równie wszystkim dobrze. Żyjemy w przyjaźni i zgodzie; a chyba nie mogłeś dopatrzeć się tam nieporządku, gdzie wszystko jest na właściwem miejscu, i gdzie wszyscy są zadowoleni z urządzeń.

— To chyba — pytał dalej wędrowiec — muszą tu być tylko sami dobrzy i rozumni ludzie?...

— O tak, tutaj wszyscy są dobrzy i piękni, wszyscy wolni i szczęśliwi, a i wszyscy, oczywiście rozumni, bo są najzupełniej prości.

Jesteśmy w Bajce. Jesteśmy wszyscy królewiczami lub królewnami, i nawet mamy nad głowami takie malutkie światełka, w kształcie rożków ślimaczych albo motylich macadełek... możesz je ujrzeć wieczorem.

Dziwił się bardzo wędrowiec tym niesłychanym rzeczom, o których tłumaczono mu z taką prostotą. Na razie trudno mu było uszom swym uwierzyć: żeby tak dziwnie urządzony kraj mógł istnieć choćby w bajce! Z czasem jednakże

zaczęło mu się to wszystko wydawać naturalnem i prostem. Myślał nawet, że możeby ten właśnie kraj fantastyczny wart był zaszczytu urzeczywistnienia, a inne rzeczywiste zasługują może raczej na to, by żyły tylko w wyobraźni. Myślał, że kto wie, może te bajeczne, fantastyczne istoty — może to właśnie są prawdziwi ludzie... a tamci ułomni z rzeczywistego świata może są tylko wymysłem niesfornej fantazy złośliwych czarowników.

Idąc raz z królewnami przez gęsty bór, ujrzał królewicz nasz straszliwego lwa z rykiem okropnym zdążającego wprost na towarzystwo. Przejęty trwogą prosił królewne, by uciekały, i tymczasem wyłamawszy potężną gałąź z poblizkiego drzewa szykował się mężnie do walki. Lecz ku największemu przerażeniu jego królewny nie usłuchały przestrogi, a najspokojniej podeszły do lwa jeszcze bliżej... i jedna z nich głaszcząc wspaniałą grzywę królewskiego zwierza z uśmiechem zwróciła się do wędrowca następującemi słowy:

— Tu się nie boi nikt dzikich zwierząt, bo nikt im nic złego nie robi... Zapominasz widocznie ciągle, że jesteś w Bajce... Lecz nie zatrzymujmy się, rzekła, ażeby mieć czas zdążyć jeszcze na bal Dobrych wróżek, który się wy-

prawia z powodu dnia urodzin jednej z najsympatyczniejszych. — O niej zapewne słyszałeś, bo słynie na ziemi z tego, że opiekowała się biednym małym Kopciuszkiem; ona czuwa nad sierotkami i ubogim dzieciom w noc wigilijną przystraja w lesie choinki...

Na wesołej polance zebrało się niezliczone mnóstwo dziwnych, mniejszych i większych, ale nad wyraz wdzięcznych, skrzydlatych duszków, które pląsały w kółko, pobrawszy się za ręce, jak robią to małe dzieci, gdy je napadnie wesołość i gdy są w wielkiej ze sobą zgodzie. Niektóre chodziły parami, albo wykonywały tak zwanego młynka; albo też zgrabnie bardzo skakały przez szybko rękami obracaną tęczę — jak to często się widuje w ogrodach miejskich dziewczynki skaczące przez zwyczajny sznurek. Najwięcej ich rączo biegało na wyścigi, obsypując się wzajemnie płatkami z kolorowych świetlistych iskierek i oplątując wstęgami z słonecznych lub księżycowych promyków. Śmiech się rozlegał i wrzawa nie do opisania.

— To jest zabawa w »gwiezdne confetti«, której tak lubią oddawać się wróżki — tłumaczyła królewna.

Z krzaków strzelały co chwila przeróżne światła magiczne, lepsze od ogni bengalskich

i fajerwerków puszczanych w dzień koronacyi w stolicy. A jakaż grała muzyka!...

Tymczasem pokazawszy solenizantkę coraz to nowe prezentowano królewiczowi osoby. — Oto jest wróżka, co ma imię Tkliwość. Uratowała ona niejedno życie ślepym przeznaczonym na utonięcie kociętom, gdy jej się czasem udało podszepnąć któremuś z dzielnych chłopaków, by biedne stworzonko otoczył swą możną opieką.

— Oto jest ta, której na imię Dzień Dobry!... A tam — to złotowłosa Radość... Teraz wiem, że sprawię ci prawdziwą przyjemność, gdy poznajomię z jedną najczarowniejszą: zobacz tam — bawią się w ślepą babkę — otóż ta właśnie z zawiązanemi oczyma, taka rozwiewna i nieuchwytna, — jesteś jak widzę olśniony jej urodą... — to wróżka Szczęście. A tamta znów poważna i zadumana jest tą, która zapala lampki złocone w sercach ludzi i słowa ust ich niekiedy przeistacza w róże... Cuda, które na ziemi zdziałała ta wróżka, wy nazywacie poezyą, ale samo jej imię jest jeszcze stokroć piękniejsze... To ona właśnie, jeśli już chcesz tak mówić koniecznie, jest najważniejszą władczynią, od której tu wszystko zależy; jej zawdzięczamy powstanie i trwałość naszego państwa... Patrz jak

jej dyadem słoneczny na czole nieśmiertelnem świeci...

Lecz przyglądając się wróżkom, królewicz zamyślił się chwilkę i prosił towarzyszki, aby mu pokazały to, czego jeszcze nie widział w ich kraju. Pokazywały mu tylko same dobre wróżki, lecz on chciałby też ujrzeć choć jedną złą, lub któregoś ze strasznych złych czarowników, o których tyle się mówi w bajkach na ziemi; bo skoro już jest w samem królestwie Bajki, to wartoby wszystkie jego osobliwości poznać.

— Chciałbym — rzekł — naprzykład widzieć, jak na łopacie wiedźma wylatuje z komina?... Albo jak straszny smok-ludożerca bucha ogniem z swej żelaznej paszczy?...

— U nas tutaj złych wróżek i złych czarowników ani takich potworów przerażających niema. One istnieją tylko w waszych ludzkich bajkach... lecz wasze bajki nie są prawdziwemi bajkami... My żyjemy w prawdziwej, w wielkiej i pięknej Bajce, w której te wszystkie brzydkie wymysły są najzupełniej niepotrzebne.

Należy wiedzieć, że dawniej, bardzo dawno już temu (a najstarsi nie pamiętają tego nawet z opowiadań) świat bajki i rzeczywisty stanowiły jedno wielkie zespolone razem królestwo. Wszyscy ludzie obu narodów żyli w miłości

i zgodzie. Potem jednak, nie wiadomo z jakiej przyczyny, nastąpił rozłam, zerwały się wszelkie między obu krajami stosunki tak dalece, że z biegiem czasu ludzie rzeczywiści zapomnieli nawet, gdzie się lud zaczarowany osiedlił, a dziś już i nie wszyscy w istnienie tego odrębnego królestwa wierzą. Więc w owym bardzo dawnym czasie mieszkańcy dwóch światów, żyjąc wspólnie, przyjaźnili się z sobą i nawet zawierali małżeństwa. Stąd po nastąpieniu rozdwojenia w jednym i drugim narodzie znaleźli się ludzie albo z odrobiną tylko krwi z Bajki, — ci pozostali na ziemi — albo z odrobiną tylko krwi ziemskiej i ci zamieszkali w zaczarowanem królestwie. Królewicz nasz właśnie po niewiadomo jak dawnej praprapra-babce jakiejś miał w sobie coś jeszcze z owej krwi z bajki, i może dlatego udało mu się teraz do tego królestwa trafić...

Przypadek zdarzył, że któregoś dnia podczas przechadzki spotkał się on z jedną królewną, która po niewiadomo jak dawnym praprapra-dziadku swoim miała odrobinę krwi ziemskiej...

Spotkał ją w cichem ustroniu, na zielonym brzegu rzeczułki, kiedy nabierała wodę do kryształowego naczynia — i uderzony niezrównaną

urodą dziewczęcia zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Królewna też, naturalnie (jak to zawsze bywa w bajce), natychmiast odpowiedziała mu wzajemnością — i niebawem huczne odbyło się weselisko, na które sproszono wszystkie znajome królewny i najlepsze złote wróżki.

III.

Jeżeli miłość wzajemna jest i na ziemi wielkiem dobrem, to wyobraźmy sobie, jako rozkoszną musi ona być tam, gdzie samo już przebywanie daje niezamąconą radość.

Czyż można byłoby się dziwić zatem, gdyby królewicz nasz wobec nadmiernego szczęścia, jakie dostało mu się w udziale, zapomniał o kraju rodzinnym, i po dziś dzień pozostał w bajce. Takby było z pewnością, gdyby nie zrządzenie, które zamąciło nienaruszony spokój jego rozkosznej egzystencyi.

W szeregu przyjemnych widzeń, piastujących go każdej nocy, nawiedził go raz sen, niezwykły w tamtejszych stronach, sen zresztą piękny bardzo, ale smutny i wzruszający do głębi. Przyśniło mu się niebo czerwone od zorzy polarnej, wielka posępna równina śnieżna i na niej brudne, dymiące się jurty ojczyzny. Wewnątrz jurt ujrzał wszystkie troski, łzy i nieszczęścia jego najbliższych, najdroższych ludzi.

Pierwszy raz obudził się z gorzkiem westchnieniem i ze łzami w oczach. Na zapytanie żony, opowiedział swój sen i odtąd często rozmawiał z nią o rodzinnym kraju, za którym tesknić już zaczął głęboko. Królewna słuchała opowiadań męża z uwagą i zadumaniem, bo dzięki odrobinie krwi ziemskiej mogła go zrozumieć i odczuć; ale ze smutkiem spostrzegła, że on nie czuje się już w bajce szczęśliwym i że chce wrócić do domu.

Kochając go tak, jak tylko takie królewny umieją kochać, postanowiła zdobyć się na poświęcenie dla ukochanej osoby, a myśl o poświęceniu podniosła jej miłość do jakiejś nowej nieznanej potęgi.

Któregoś dnia tedy tak rzekła do męża:

— Widzę, że bardzo ci tęskno za ojczystym krajem i że chciałbyś tam pojechać. Jeśli chcesz, to pojedziemy razem...

Królewicz ucałował ze wzruszeniem drobne rączęta żony i tuląc ją tkliwie do piersi:

— Jedźmy — rzekł — skoro ty mnie nie opuścisz, to i tam życie nam będzie możliwem.

Uproszone wróżki w niepojęty sposób przeniosły ich w jednej chwili z bajki do ziemi jurt i wysadziwszy przed samym domem, gdzie urodził się królewicz, znikły.

Lecz odlatując ostrzegły: że w księdze Wielkich Wróżek zapisanem jest, iż kto dobrowolnie opuszcza zaczarowane królestwo — temu już nie będzie wolno tam wrócić. Ostrzegły ich też, że nikt z ludzi nie powinien wiedzieć, ani się nawet domyślać, skąd przybywają oni, a zwłaszcza nikomu nie powinno być wiadomem pochodzenie żony królewicza.

Mogą zresztą, jeśli zechcą, opowiedzieć światu to wszystko, lecz podając nie za prawdę a tylko za zmyśloną przez nich opowieść....

Królewicz z żoną weszli do domu sędziwego króla, który ze łzami radości witał syna. Na zapytanie, z jakiej przyjechali podróży, odpowiedzieli, że byli w dalekich krajach, gdzie spotkawszy się, połączyli sercami, że wędrowali długo, nim się udało im do Jurt dostać, i że teraz czują się całkiem szczęśliwi, znalazłszy się w domu ojcowskim.

Po sutej wieczerzy, gdy dawnym zwyczajem rozsiedli się wszyscy wkoło ogniska i zaczęto mówić fantastyczne bajki, opowiedzieli przybysze nasi bajkę jeszcze fantastyczniejszą i mniej do prawdy zbliżoną od wszystkich innych, które dotychczas słyszano w tych stronach. Domyśleć się nie trudno, że treścią jej były prawdziwe wydarzenia z życia, których nie wolno im

było w innej podać światu formie. I nikt nie domyślił się z ich opowiadań niczego takiego, czego nie należało się domyślać...

Król stary tylko ze zdziwieniem spostrzegł nad głową synowej, kiedy w ciemniejszym kącie znajdowała się izby, dwa tajemnicze światełka w kształcie rożków ślimaczych albo motylich macadełek; lecz doświadczona mądrość życiowa nakazała mu nie rozpytywać o ten szczegół; wiedział, że czasem ciekawość, zwłaszcza względem rzeczy nadzwyczajnych, może być niewłaściwą i zdrożną...

Radość z miłych gości i opowiadania ich sprawiły, że był to jeden z najpiękniejszych wieczorów w krainie jurt. Wieczór najcudniejszej bajki.

I oto nadziemskie rozkosze życia biednych przybyszów zmieniły się tu w szare pasmo trosk i zgryzoty. Dyamentowe pałace, ogrody zaklęte, królewny, wróżki złote, stały się tylko wspomnieniem. Otoczenie ich teraz stanowili ludzie ułomni — biedni i smutni.

Przed oczyma roztaczała się śnieżna pustynia; w mieszkaniu było duszno i brudno od dymów rozkładanego wewnątrz ognia. Zamiast

wybrednych uczt, któremi się raczyli tak niedawno jeszcze, spożywali teraz skromną strawę ubogich ludzi, zaprawianą zbyt często łzami i goryczą.

Wkrótce, pozostawiając rządy synowi, zmarł stary, stroskany władca Jurt Syberyjskich. Ostatnie chwile życia osłodziła mu wielka radość: odchodząc, zdążył jeszcze pobłogosławić malutkiemu wnukowi, którego powiła mu piękna synowa.

Objąwszy ciężar rządów, nasz dawny królewicz stał się królem i władcą, a dawna królewna dzieliła z nim troski panowania.

Oboje, jakkolwiek gorzkie były teraz ich losy, pocieszali się tem, że byli prawdziwie troskliwymi o dobro poddanych władcami. Lecz główną ich radość stanowił mały uroczy synek; całą więc pieczołowitość włożyli w wychowanie ukochanego dziecka.

Ojciec i matka wiedząc, że syn ich nie może powrócić do zaklętego królestwa, t. j. tam, gdzieby mu było naprawdę dobrze, starali się umysłem jego i sercem pokierować tak, ażeby wyrósł on na dobrego i rozumnego męża, zdatnego do władzy, którą miał objąć z czasem, i nie zdradzali przed dzieckiem tajemnicy jego niezwykłego pochodzenia.

Ojciec, który z doświadczenia wiedział, że życie ma swoje surowe, niezłomne prawa, z któremi się liczyć i do których stosować się należy, uczył go wiedzy ziemskiej i wszelkiej praktycznej mądrości, wpajał hart ducha i moc, niezbędną do wytrwania w gorzkich próbach losu. A chociaż serce mu się ściskało na jego własne wspomnienia, to jednak, idąc za głosem przekonania męskiego, nie mówił synowi bajek i innym zakazał je mówić, by nie rozniecano w dziecku daremnych władz wyobraźni.

Ale matka, będąca tegoż samego zdania, nie mogła jednak w tajemnicy przed ojcem nie zanucić czasem nad kolebką jakiejś przecudnej kołysanki, którą śpiewano w jej dzieciństwie złotem... Nie mogła i później, gdy dziecko było już starszem, nie opowiadać bajek, których umiała tyle. Chłopak tak prosił o to, rozszerzając ciekawie zadumane oczy, jakby się wpatrywał w jej słowa... Gdy spał, nieraz nad nim płakała i wydawało się wtedy dzieciakowi, że gwiazdy biegną ku niemu z błękitów.... z niebieskich oczu matki...

Było to dziwne, miłe nad wyraz i rzadkiej piękności dziecko. Obdarzone nad wiek zaletami umysłu i charakteru, tak niezbędnemi dla przyszłego króla, — posiadało zarazem ognistą

wyobraźnię i niewieścią jakąś tkliwość i idealność serca. Rzekłbyś, że całą duszę chłopaka stanowiły dwie zasadnicze sprzeczności, dziwacznie zespolone w naturę dobrą i użyteczną — dla innych, lecz dla niego samego będącą źródłem nieustannego niepokoju, niejasnych porywów i tęsknot silnych a nieokreślonych.

I nic dziwnego: łączył on w sobie dwie wręcz odmienne natury: jednę, odziedziczoną po ojcu, ziemską, zrozumiałą, a drugą po matce, idealną, rwącą się do wymarzonych, niedostępnych światu rzeczy; miał dwie miłości i dwie tęsknoty.

Dusza jego miała dwie sprzeczne sobie ojczyzny.

Chłopak przebywał chwile nadzwyczajnego ożywienia i chwile zupełnej melancholii i smutku. — Czasem olśniewał powagą myśli i czynu, a czasem zatrważał dziwacznymi pomysłami, w których zdrowego sensu trudno się było dorozumieć.

Kiedy np. z nadejściem wiosny przemyśliwali wszyscy nad udoskonaleniem sideł dla tem łatwiejszego łapania zwierząt i ptaków, mały królewicz zajmował się wynajdowaniem przyrządu, coby uniemożliwił ludziom tę niezbędną i pożyteczną czynność.

Kiedy patrzył na wiszącą na ścianie, przedstawiającą krajobraz jakiś rycinę (było ich kilka w jurcie, pozostawionych na pamiątkę królowi przez jakiegoś zapędzonego tam losem z dalekich krain wygnańca) — to chciało mu się koniecznie dowiedzieć, co za narysowanem drzewkiem się dzieje... Chciałby odgarnąć listki i pójść drogą wijącą się za ich gąszczami — i iść tak bez końca w głąb wiszącego na ścianie obrazu...

Nieraz udawszy się w podróż na nartach, przepadał przez długie miesiące i wracał ochoczy i wesoły do zabaw z rówieśnikami — lub ponury i milczący usuwał się od towarzyszy i w tajemnicy knuł coś na samotności, a co — nikt o tem nie wiedział.

Gdy doszedł lat młodzieńczych, nie czuł się dobrze na świecie, poprostu nie mógł sobie znaleść na nim miejsca. Widocznie szukał czegoś, czego nie mógł znaleść, a czego — o tem sam sobie sprawy dobrze nie zdawał. Odbywał gorączkowo podróże w różne strony świata. Zwiedzając lądy i morza, poznał przeróżne kraje i w ludnych stolicach badał księgi wielkiej ziemskiej mądrości. Nieuspokojony tą wiedzą biegł dalej w słoneczne kraje zwrotników, pełne skarbów przyrody, trudnych do opisania, i tam obcował z tajemniczymi Magami, klucznikami od-

wiecznych zagadek. Lecz z każdej podróży wracał królewicz coraz to bardziej niespokojny i smutny....

Od Magów południa, których rozpytywał o przyczynę swego niepokoju, znał już następującą prawdę:

»Nie możesz znaleść sobie miejsca na ziemi, bo marzysz o szczęściu zbyt wielkiem dla śmiertelnych. Możesz je zdobyć tylko dostawszy się do Zaczarowanego Królestwa. Lecz kraju tego napróżno szukasz tutaj — w ziemi, przepychem tylko skarbów przyrody do niego zbliżonej. Z księgi Wielkich Tajemnic wyczytaliśmy, że zaczarowany kraj ten leży gdzieś, w stronach tych właśnie, z których tu przyjechałeś — leży on na północy, daleko, na śnieżnej lodowatej pustyni«.

Powróciwszy więc do Jurt swych przedsiębrał wyprawy na Północ, jak najdalej stanęła tam stopa ludzka — i dotarł jeszcze dalej. I kiedy po długich a daremnych mozołach, zgnębiony raz wrócił do domu, spotkała go smutna nowina.

Czekał nań osierocony tron po ojcu, który dziwnem zrządzeniem losu zmarł — jednocześnie z matką jego, byłą królewną z Bajki...

Obleczony podwójną żałobą, odprawił mło-

dzieniec smutne obrzędy pogrzebu — i złożywszy dostojne prochy rodziców w wspaniałym sarkofagu z lodowego kryształu, kazał usypać im olbrzymie kopce śniegowe...

IV.

Rządził król mądrze i troskliwie, lecz pośród trosk panowania nie zaniedbywał swych dawnych badań nad sprawą odkrycia tajemniczego kraju. Pomny nauki Magów Południa, wiedział, że kraj ten znajduje się na Północy. Teraz w gronie doradców swych mając największych mędrców północnego narodu zasięgnął i u nich porady. Nazywano ich Szamanami, czyli Magami śniegu, a mądrość ich będąc inną od mądrości Magów Ognia, była jednako wielką i nieomylną, gdyż potwierdzała tajemnice tamtych.

Szamani oświecili go jeszcze dokładniej, gdyż zapewnili, że poszukiwane królestwo nazywa się »Bajką« i że leży ono w bliskiem sąsiedztwie z państwem Jurt; lecz gdzie dokładnie i w której stronie, określić nie byli w stanie. Powiedzieli mu nadto, że w czasach zamierzchłych Bajka i Rzeczywistość stanowiły jedną całość, a jak głoszą księgi Mądrości Jedynej, kiedyś ma

znowu nastąpić połączenie i zbratanie tych obu krajów. Ale zbliżenia tego nie mogą dokonać ludzie z Bajki. Mogą to uskutecznić tylko ziemscy ludzie, kiedy prawdziwie tego zapragną, i kiedy między nimi znajdzie się człowiek o krwi mieszanej, pochodzący z tych obojga królestw. A trzeba ci wiedzieć, dodali, iż mamy pewne oznaki, że ty właśnie, królu, takiego jesteś pochodzenia!«

Uderzony tą wiadomością król, który dotychczas szukał zaczarowanego królestwa tylko przez wzgląd na swoje własne szczęście, teraz już jako władca ludu, tembardziej poczuł się w obowiązku dotrzeć do tego kraju. Przyszła mu wielka idea, idea połączenia obu narodów w jedno mocarstwo. Nie tracąc ani chwili czasu, zajął się jeszcze gorliwiej badaniami nad określeniem miejsca, gdzie się kraj ów znajduje i nad sposobem dotarcia doń w celu przeprowadzenia genialnej myśli. W pracy tej pomagali mu mędrcy i mężowie zaufania, z którymi ciągłe odbywał narady. Przy każdym przychodzącym im na myśl pozorze możliwości dotarcia do tajemniczych sąsiadów, rozpoczynano mozolne i długo trwające wyprawy, rozsyłano w rozmaite strony najdzielniejszych ludzi dla wywiadów i poszukiwań. — Lecz krążąc ciągle w po-

bliżu poszukiwanego kraju (o czem wiedziano z pewnością), nie udało się nikomu natrafić nawet na ślad najmniejszy, dający jakąś wyraźną wskazówkę.

Gdy tak zajęty bezustannem i bezskutecznem zawsze dociekaniem, którejś nocy zmęczony król zasnął, zjawiła mu się we śnie dobra wróżka złota, i głosem przypominającym głos matki, przemówiła w te słowa:

— Wielki Duch, który rządzi wszystkiem, Rzeczywistością i Bajką, w rządzeniach swych jest mocnym i nieubłaganym. Tylko tym, co nad wyraz kochają, udaje się niekiedy zmiękczyć Jego wyroki. Jestem matką twoją, byłam królewną z Bajki, a teraz należę do rzeszy dobrych wróżek. Królewna z Bajki może stać się wróżką tylko wtedy, gdy dobrowolnie zgodzi się wyzbyć radości swej szczęśliwej ojczyzny i zejść ku ludziom, by dzielić z nimi smutną ziemską dolę, osładzając nieszczęścia ich swą dobrocią i troską. Udało mi się uprosić Wielkiego Ducha, ażeby i tobie pozwolił odnaleźć kraj zaczarowany. Lecz nie przyjdzie ci to łatwo, jak przyszło twemu ojcu, który tam zawędrował przed laty i poślubiwszy mnie — znowu powrócił na ziemię. W stajni twojej królewskiej są zapomniane sanki, któremi od czasu szczęśliwej

wyprawy ojca twego nikt nigdy nie jeździł. Zaprzągnij w nie dwa najłagodniejsze z białemi gwiazdkami na czołach rogacze, zabierz żywności na czas długi, bo droga będzie niełatwa, i jedź w kierunku, w którym ludzie nie mają zwyczaju jeździć za zdobyczą. Dalej dowiezie cię sam instynkt dobrych renów. Lecz pamiętaj, że cokolwiekby się dziwnego lub strasznego ukazało po drodze — to nie należy się zatrzymywać, lecz jechać powinieneś dalej, nie zwracając na nic uwagi. A głównie pamiętaj, żebyś, wyruszając w tę podróż nie miał przy sobie broni i żeby nikt, kogobyś ze sobą chciał zabrać, nie miał jej przy sobie. Nie zapomnij mój synu najdroższy, tego ostrzeżenia mego.

To rzekłszy złożyła wróżka pocałunek na czole syna — i znikła.

Obudził się król zaraz po usłyszeniu tych słów matki, zerwał się z łoża i nie zwlekając, zwołał na naradę wszystkich swych senatorów i Szamanów.

Skutek narady był ten, że niezwłocznie wydano rozkaz: by wszyscy mieszkańcy jurt jak najprędzej gotowali się do wyprawy, by zgromadzili jak najwięcej żywności, gdyż droga ma być niekrótka. Przyczem nakazano surowo, by

wszystką broń, znajdującą się w ich posiadaniu, zostawili w domu.

W krótkim przeciągu czasu cała ludność państwa była gotową do odjazdu. Ogromna ilość zaprzężonych renów i psów, wiozących lżejsze ciężary, mnóstwo wozów zapełnionych starcami, kobietami i dziećmi, cały tłum młodych ludzi na nartach — wszystko, co tylko stanowiło poddanych państwa, na rozkaz króla zebrane znalazło się na równinie przed miastem.

Cały naród Jurt wyruszył w podróż nieznaną. Na czele jechał w sankach władca, a za nim długim szeregiem ciągnęła wielotysięczna czereda poddanych. Wszyscy zdziwieni byli i zakazem posiadania broni i tem, że wyprawa zaskoczyła ich tak nagle i w porze niezwykłej (nie był to czas nadchodzącej wiosny, gdy Syberyjczycy masowo przesiedlają się bliżej ku południowi). — Mimo to nikt nie ośmielił się o nic rozpytywać. Wszyscy wierzyli ślepo królowi i ślepo słuchali jego rozkazów.

Równina była zakrzepłą od mrozu. Sanie i narty ze świstem sunęły po śnieżyskach. Gwar głosów ludzkich mięszał się raźnie z tętentem kopyt, szczekaniem psów i rżeniem reniferów. Wszystko z szybkością strzały, jak wichrem gnane mknęło ku Bajce..., zostawiając za sobą

na białym całunie blade, połyskujące plamy śladów.

Nad głowami jadących nie przeleciał ptak żaden; nie napotkano żadnego znaku, mogącego świadczyć o istnieniu tu jakiego zwierza. Pustka coraz to dziksza i posępniejsza, rozwijała się w przestrzeń — otwarta, bezkresna, nieskończona...

Naraz wśród tej samotni śnieżnej, najniespodziewaniej ukazało się ogromne ciemne morze, niemożliwe do objechania. Morze to kotłowało ponuro, miotając z głębi kipiące ławy pian. Widocznie z powodu potężnej jakiejś podziemnej, raczej podśniegowej burzy, masy lodu stanowiące twardą powierzchnię poprzełamywały się, tworząc tę otchłań straszną i nie do przebycia.

Musiano zatrzymać się i czekać, aż mróz ugłaszcze zbuntowane wały. I gdy już ciemna powierzchnia wody zaciągnęła się gładką, dostatecznie grubą, szklistą powłoką — znów popędzono gromadnie z szybkością dawną w raz obranym kierunku przez pustkowia...

Po pewnym czasie zerwała się zamieć. Śnieg, z mocnym wichrem zmięszany, zaczął padać tak gęsto, iż znowu musiano stanąć.

Kiedy zamieć zasypywała już po kolana zwierzęta i ludzi, król wydał rozkaz poddanym,

ażeby każdy z nich wbił w śnieg po wysokiej żerdzi, w jaką zawsze uzbraja się Eskimos, gdy na dalszą wybiera się podróż. I wszyscy mieszkańcy miasta Jurt, każdy przy takiej żerdzi, wraz z dziećmi swemi i psami lub reniferem, stłoczywszy się w jaknajściślejszą gromadkę, zaczęli szybko i ustawicznie krążyć wkółko. W ten sposób ubijano śnieg, tworząc okrągłe doły w jego wciąż narastającej masie. I kiedy zaspa dosięgła już wzrostu człowieka, dookoła każdej żerdzi utworzyło się wnętrze puste, podobne do wnętrza małej jurty, gdzie było dosyć ciepła i powietrza. Następnie, gdy już te domki podśnieżne zostały jakby zbudowane zupełnie, i górna warstwa śniegu zasklepiwszy się nad głowami gromadek należycie okrzepła, poprzekopywano przejścia łączące razem wszystkie te osobliwe mieszkania, porozszerzano je z ostrożnością, — aż uczyniono jedną olbrzymią pieczarę, w której się mieścił cały naród. Tam można było nawet rozkładać ognie i rozgrzewać strawę, nie obawiając się już wcale burzy, która wciąż dziko szalała ponad głowami...

Odpoczywano tak przez długą bardzo dobę.

A kiedy zmiarkowano, że już śnieżyca ustała, i że warstwa wierzchnia śniegu, zewnętrzna jest dosyć mocna dla wytrzymania ciężaru ja-

dących, porobiono w górze otwory, przez które ukazały się gwiazdy, i przez otwory te z niemałym trudem wydobyto na wierzch wszystkich ludzi i zwierzęta z saniami oraz z resztą żywności i doprowadziwszy do należytego porządku zaprzęgi, uszykowawszy się, natychmiast w dalszą puszczono się drogę.

I znowu cały naród Jurt rozciągnięty długim sznurem w ciemnościach pędził ku równinie.

Od strony gwiazdy polarnej zatliła się blado-purpurowa zorza, podobna nieco do wschodu słońca u nas w mroźny dzień w zimie. Łuna rozpłomieniała się zwolna, wybuchła i zaczerwieniła jaskrawo niebiosa. Cienie od czarnych postaci jadących kładły się długie, ruchome i biegły fantastyczne przybierając kształty — po zarumienionym iskrzącym się śniegu...

Już w oddali, w oddali, zamigotało przed jadącymi, jakby zjawisko jakieś wymarzone. Jak miraż zarysowały się nikle, nad widnokręgiem, strzeliste wierze z kryształu, fantastyczne arkady i kolumny.... wszystko to grało w poświcie zorzy północnej drżącymi tęczującymi blaskami... Już miasto jakieś dyamentowe wstawało zwolna w przestrzeni...

Już oczy jadących powoli zaczynały dostrzegać w oddaleniu jakieś niejasne kształty rucho-

me, jakieś białe postacie... które się przybliżały wynurzając i jakby wytaczając się ze śniegu... podnosiły się z początku po jednej, a potem po kilka... i coraz to ich więcej zaczęto spostrzegać... cały tłum gęsty, niezliczony...

Pierwszy król, który jechał na przodzie, zrozumiał co to oznacza. To były białe potwory puszcz, długoszyje niedźwiedzie śnieżne... Mimo strachu wielkiego, król pomny słów matki, nie zatrzymując się jechał dalej. Potwory ogromniały, stawały na tylne łapy i wyszczerzając długie kły, groziły rozszarpaniem wszystkich....

Ale król jechał ciągle przed siebie. Natomiast inni w przerażeniu zatrzymali się, mimo usilnego rwania rozumnych zwierząt naprzód. Niektórzy porzucali sanki i uciekali w popłochu. Niestety! nie wszyscy byli bezbronni — i ci co wbrew zakazowi mieli broń ukrytą pod skórami w sankach, wydostali ją teraz — i natychmiast ich porozszarpywały potwory. Król słysząc jęki żałosne i widząc jak umierają poddani, niewytrwał w mądrem postanowieniu, lecz oszołomiony boleścią wyrwał miecz z ręki jednego z upadających i rzucił się mężnie na strasznego wroga.

W tej samej chwili drapieżne kły okropnego straszydła wpiły się z zaciekłością w pierś jego.

Upadł i ducha wyzionął. I wszyscy, ktokolwiek tylko jął się oręża nie uniknął zguby. A ci, co mieli czas umknąć, nie prędko zdołali wrócić do swojej starej siedziby.

I na tem straszliwem pobojowisku leżał szlachetny władca Jurt Syberyjskich rozpostarty i nieruchomy, w ciemności, wśród głuchej puszczy lodowej. Leżał długo bez czucia.

Aż oto zabłysło w górze jakieś niezwyłe światło — jak gdyby jeden promień z ogniska zórz borealnych odstrzelił się nagle w zaświatach i cicho schodził ku ziemi...

To cicho zeszła ku ziemi dobra Złota Wróżka, i pochylona nad królem, złożyła na czole śpiącego matczyny pocałunek, ujęła go w tkliwe ramiona i tuląc uniosła w przestwory.

* * *

I kiedy król się obudził — to ujrzał się w dziwnym kraju — w kraju podobnym do snu i marzenia — w tym właśnie kraju, do którego tęsknił i którego szukał, który tak blizko był od niego a i tak daleko — znalazł się w Bajce, w kraju, który jest, a którego niema....

IV

ZEGARMISTRZ

I.

Mieszkańcy wielkiego miasta nad jeziorem, przechodząc główną ulicą, mogli codziennie oglądać w oknie znanego zakładu zegarmistrzowskiego pochyloną nad kantorkiem inteligentną twarz człowieka w latach podeszłych, przypatrującego się jakimś niezmiernie drobnym przedmiotom.

Był to we własnej osobie główny reprezentant firmy, a zarazem jej właściciel, pracujący ustawicznie nad udoskonaleniem swych wyrobów.

Wysoce uczony, rzadki wynalazca i niestrudzony pracownik ten, doprowadzić zdołał mechanizm zegarowy do wielkiej doskonałości. Zegarki jego firmy słynęły szeroko po świecie i wszędzie uważane były za najlepsze, za wybornie chodzące, przytem wcale niedrogie, i z tą ważną zaletą, że nie wymagały zbyt częstego

nakręcania: nakręcone raz, chodziły długo same, i czasem głośno wybijały godziny...

Mieszkańcy miasta nad jeziorem cieszyli się bardzo ze swego zegarmistrza i z doskonałych zegarków, podług których regulowali z łatwością swe codzienne sprawy, każdą swą czynność zastosowując do właściwej pory — i stąd w całem ich mieście panował wzorowy ład i porządek.

Wszystko więc szło jak najlepiej, aż do chwili, gdy stało się wielkie nieszczęście.

Któregoś dnia, ktoś, widocznie jakiś waryat, stanąwszy na samym środku rynku, ni stąd ni zowąd, krzyknął:

»Zegarki chodzą fatalnie!«

Obecni mimowoli sięgnęli do kieszeni i spojrzawszy na chronometry, ze zdziwieniem spostrzegli, że to była prawda; zegarki chodziły tak źle, jak tylko można sobie wyobrazić.

Wiadomość ta wzburzyła całe miasto. I każdy, kto tylko miał zegarek, pospieszył zanieść go do naprawy.

Mistrz przyjmował zegarki, rozbierał je, badał, przeczyszczał i włożywszy znów do kopert, oddawał właścicielom, zaręczając, że już teraz: »wszystko pójdzie dobrze!«

Jednakże nic nie poszło dobrze. Zegarki co-

raz gorzej zaczynały chodzić, coraz to kapryśniej i nienaturalniej, coraz to w fantastyczniejszy sposób.

Poprostu rozum straciły.

Nie byłoby jeszcze wielkiego nieszczęścia, gdyby kończyło się tylko na tem, że u jednych była pierwsza godzina w tym samym czasie, gdy u innych piąta i nawet późniejsza, lub, że u jednych wskazówki posuwały się raz szybciej — to znów wolniej, wtedy, gdy u innych wciąż się cofały, lub stały ciągle na miejscu. Lecz ta niedokładność w godzinach zaczęła dotkliwie odbijać się na sprawach całej ludności. Z powodu ciągłego mylenia się w czasie dochodziło do coraz przykrzejszych nieporozumień.

A najstraszniejsze rzeczy działy się z wielkimi zegarami — z urzędowymi — z ogromnym katedralnym i miejskim wieżowym na ratuszu.

Chodziły one Bóg wie po jakiemu i Bóg wie po jakiemu biły.

Aż którejś nocy naraz takie dziwaczne i głupie, takie niemożliwe zaczęły wydzwaniać godziny, że całą ludność, (żyjącą teraz wyłącznie myślą o zegarach), opanował strach nieopisany. Powstała formalna panika — uderzono w dzwo-

ny na trwogę. A huk dzwonów spiżowych, mieszając się z fałszywem dźwiękiem szalejących zegarów, tworzył jakiś waryacki, potępieńczy zgiełk nie do opisania. Ulice wypełniły się tłumem po brzegi. Biegano, krzyczano, tracono głowy. Powstał taki zamęt, że rząd uczuł się zmuszonym, dla przywrócenia spokoju, rozpędzić zbuntowaną ludność wojskiem. Lecz i ten środek nie okazał się dość skutecznym, gdyż z powodu niedokładności w godzinach, nawet wojsko pomyliło rozkazy — zaczęło strzelać za wcześnie....

Wobec takiego stanu rzeczy nietylko już sama ludność, ale i władze z całą powagą zażądały od mistrza, aby natychmiast doprowadził zegary do porządku.

Mistrz, wyzyskawszy po kolei wszystkie środki i sposoby, na jakie się zdobyć mogła jego olbrzymia, wsparta wieloletniem doświadczeniem wiedza, przyszedł do przekonania, że nie ma sposobu zaradzenia złemu. Ciężko mu było jednak obwieścić ludowi tę prawdę, prawdę zapowiadającą ojczyźnie jeszcze gorsze nieszczęścia, a dla niego samego będącą zupełnem bankructwem firmy.

Na szczęście był on nietylko wielkim uczonym i zegarmistrzem, lecz i człowiekiem geniu-

szu, nie poprzestającym na samych naukowych badaniach. Zaczął więc szukać w umyśle innego sposobu, chociażby mniej naukowego, któryby jednak prowadził do pożądanego celu.

I po długich samotnych rozmyślaniach, nareszcie przyszedł do wniosku, że skoro przyczyna nieregularności chodu nie leży w samym mechanizmie, (gdyż sam mechanizm zawsze był niezaprzeczenie dobrym), to musi istnieć jakiś głębszy powód tego smutnego zjawiska.

Zegarek jest wyrazem czasu, określnikiem jego i przedstawicielem. Wadliwość zegarków leży widocznie w wadliwości czasów, które reprezentują. Ponieważ zaś każdy zegar chodzi inaczej, stąd wniosek, że i każdy właściciel jego ma czas odmienny, czyli, że każdy człowiek jest innego czasu i podług innego czasu żyje. Co głowa — to inna godzina...

I spostrzegł mistrz, że czas jednych ludzi jest prędszym, niż czas innych. Że u niektórych osób wskazują zegarki nawet bardzo dawne, zamierzchłe doby, a u niektórych znaczą jeszcze nienadeszłe chwile... Spostrzegł, że przeszłość z całym szeregiem epok umarłych nie przeszła — i kreśli się po wypadkach życia... i że zarówno już przyszłość chodzi po ziemi...

I te wszystkie najprzeróżniejsze i najsprze-

czniejsze czasy, dziś właśnie, pomięszane jedne z drugimi, pogmatwane, szarpiące się, snują po miastach ludzkich, tworząc ten stan przerażający zamętu.

Wobec tego odkrycia przeszedł go zimny dreszcz grozy i włosy powstały mu na głowie.

Jakże zaradzić złemu?

Trzeba uporządkować czasy ziemskie podług jednego, wspólnego im wszystkim, wielkiego zasadniczego czasu.

Czasy ziemskie regulują się oczywiście podług Zegara Ziemi, do którego należy dotrzeć i na ogólną ziemską godzinę nastawić wszystkie zegary...

II.

Zmiarkowawszy kierunek, w którym należało dążyć, wyszedł mistrz z domu w nocy i przyszedł do podnóża wysokiej góry. Tam znajdowała się tajemna, znana tylko nauce jego pieczara, w głębi której było niewidzialne dla niebacznego oka wejście do głuchych, podziemnych korytarzy, rozbiegających się w rozmaitych kierunkach.

Zapuszczając się jednym z nich, głównym, schodził zegarmistrz w zupełnej ciemności coraz niżej w głąb ziemi, zbliżając się ku jej środkowi. Wkrótce jednak zaczęło się robić widniej z powodu jakiegoś magnetycznego światła i w tym czerwonawym odbłysku, zarysowały się z lekka kontury wielkich, poszarpanych głazów.

Im głębiej schodził zegarmistrz, tem bajeczniejsze sezamy nieprzebranych bogactw wnętrze ziemi roztwierało przed nim. Jak złomy skał,

bryły złota i srebra, dyamenty wielkości dużych piaskowców, walały się lśniące w nieładzie, podobne odłamkom słońc, rozbitych gromem wszechświatowej burzy.

Omijając te skarby, uczony szedł coraz dalej. Widział szkielety jakichś stworzeń nieznanych, wymarłych dawno na powierzchni ziemi. Skamieniałe smoki, żyjące jeszcze tylko w legendach, monstra koloru krwawej miedzi, gniewne a nieruchome, zrośnięte z granitem ścian, podtrzymujących sklepienia.

W wyrazie ich tkwiło bezsilne wytężenie i wściekłość, jak gdyby pragnęły rozsadzić wiążące ich pęta opoki.

Chwilami aż zajęczały posady od ich gwałtownego drgnienia...

Zaropiała lawa wulkanicznych kraterów, pożużlowe strzępy gór, pokrywały grunt ślizki, nierówny, trudny do przebycia.

Z dołu i z góry dochodziły posępne odhuki pracujących sił jakichś.

Huk podziemnego pożaru pieców lub kuźni, zagłuszany biciem tysięcy gigantycznych młotów, wstrząsał dookoła posadą.

Tam pracowano nad wytwarzaniem niewygasającego ognia ziemi, nad podtrzymywaniem jej wewnętrznego ciepła...

Nareszcie ujrzał uczony w olbrzymiej, potwornie olbrzymiej pieczarze, znajdującej się w samym środku planety, straszliwy zegar ziemi. Ujrzał okrągłą, fosforyzującą tarczę jego. Magnesowe wskazówki groźnie się obracały, wskazując ponure doby...

Przypatrzywszy się im uważnie i obliczywszy czas — mimo całej swej grozy nie mógł się oprzeć zegarmistrz wrodzonej ciekawości. Zapragnął zbadać mechanizm strasznego zegara. Wdarł się więc na granitowe kolumny, które podtrzymywały machinę i zajrzał w jej tajemnicze wnętrze.

Olbrzymie, zgrzytające koła żelazne, pordzewiałe, grube sprężyny, ogłuszający chód wahadłowy, grzmotowy szczęk złowrogo wydzwanianych godzin — to wszystko razem nie odstraszyło dzielnego badacza od śmiałych dociekań. Mniejszym jeszcze niż owad, w stosunku do ogromu machiny, wyglądał mistrz, łażąc po tych potężnych osiach i trybach, zaglądając uważnie w każde zagięcie, w każdą rdzę śruby, zazębienie koła...

I jakichże tajemnic tam się nie dopatrzył!...

Lecz gdy dokładnie to wszystko obejrzał i poznał całą skomplikowaną budowę — to prze-

konał się niestety, że podług tego, co widział, nie można nastawiać ludzkich kieszonkowych zegarków, gdyż i ten wielki elementarny zegar, zegar ziemi, nie chodzi dobrze...

Trzeba wprzódy uregulować sam zegar ziemi podług jakiegoś jeszcze większego i prawdziwszego czasu.

Tym większym jeszcze zegarem jest niezawodnie zegar Słońca.

I niestrudzony badacz wyruszył w dalszą podróż, która już była mniej trudną, gdyż właśnie stamtąd, gdzie się teraz znajdował, zaczynała się najprostsza droga do krainy światła.

Droga ta była gładka, łagodnie wznosiła się w górę i wiodła ku błękitom. Gdy wędrowiec znalazł się już na pewnej wyżynie, odsłoniła się oczom jego szeroka zieleń górska. Tu i tam przecinały ją wężykowate, rozmaicie w niebo biegnące ścieżynki i wstęgi srebrnych potoków, kryształowemi falami opadające w przepaści.

Nad głową widział wspaniałe orły, wyniośle szybujące pod obłokami i słyszał świst piór ich potężnych. A z kwietnych zarośli dochodził śpiew mniejszych złotopiórych ptaszyn.

Spotykał białe postaci, jak mgła powiewne i przeźroczyste, mające na czołach przepaski z ognia, a w ręku łuki z tęcz i strzały z księ-

życowych promieni. Istoty te maczały ostrza ich w woni róż, świeżo rozkwitających na zboczach, napinały tęcze — łuki i pochylone, celując w dół, puszczały swe świetliste groty...

»Strzelają do serc ludzi w dolinie, by zatruć je czarem poezyi, świeżością górskich przełęczy i drżeniem księżycowych brzasków...« — pomyślał w duchu wędrowiec.

Zaczęła się długa aleja pomarańczowa, a po niej cyprysowa, a potem aleja z laurów, które wszystkie przebywszy, stanął mistrz przed stolicą z kryształu.

Przysłonił oczy ręką... Bo oto na dyamentowej wieży najświetniejszego z pałaców ujrzał olśniewające zjawisko.

Ujrzał zegar Słońca.

Na jasnej tarczy, wielkiej jak jezioro, zwierciedlił się błękit i zorze, a tęcze i obłoki winęły się w okrąg, w przeróżne wzory i symbole. Szczerozłote wskazówki stały na wzniosłej, idealnej godzinie.

Lecz doświadczona myśl uczonego i tu nie zdołała się oprzeć chęci poznania mechanizmu.

Nie zabrakło mu na to odwagi i wytrwałości. Więc zaczął badać misterną budowę, złożoną z samych promieni, ze złotych snów i marzeń, obracanych przez jutrznie, wijące się w koło

i przeplatające wzajem, — budowę przedziwną, której każdy szczegół był arcydziełem sztuki zegarmistrzowskiej.

Lecz zbadawszy to wszystko dokładnie, mimo całego podziwu swego i zachwytu, przekonać się musiał i teraz, że nawet ten idealny zegar, zegar słońca, nie wskazuje dobrze.

Zasępił się nasz myśliciel i stał przez chwilę zniechęcony, w zwątpieniu i w rozpaczy. I wahał się tylko: czy lepiej wrócić do ludzi z wieścią, że nie ma sposobu uporządkowania ich bytów, — czy lepiej z dyamentowej wieży, na której się znajdował, rzucić się w otchłań i zginąć?

Po chwili jednak przyszła mu znowu myśl.

Muszą wszak istnieć jeszcze inne czasy, musi istnieć inny zegar, większy i doskonalszy, niż zegar Słońca i Ziemi.

III.

I poszedł mistrz w stronę nieznaną, w niezrozumiałym już nawet i rozumowi kierunku, w kierunku, który wskazać mogło tylko błyskawiczne natchnienie geniuszu.

Idąc więc teraz dziwną, niepodobną w niczem do poprzednich drogą, nietyle już wzrokiem i myślą, co jakąś głębszą, a utajoną władzą ducha przenikał nowe zupełnie zjawiska.

Szedł w dzień i w nocy. A był tam dzień nie taki i noc nie taka, jak na ziemi. Panowało tam inne pojęcie światła i ciemności. Światło i ciemność, następując kolejno, tworzyły jakieś doby mistyczne, zapadające nie na świat jeden, lecz na wszystkie światy kosmosu. Więc, gdy na ziemi mamy dzień lub noc, zależnie od położenia naszego słońca, w tym samym czasie dla całych systemów planetarnych, zarówno dla słońc, jak i planet, jest dzień lub noc inna, mająca źródło w zupełnie odmiennych, nierozróż-

nialnych oczyma stworzeń, zmierzchach i świtaniach.

Oto wśród takiej wszechogarniającej Nocy, olbrzymie praświaty i prasystemy światów umarłych zwalone w gruz, na samo dno wieczności i prochem wieków zagrzebane, jak w grobie, ulegają tajemnym jakimś gusłom wszechistnienia. Wyrwane ich zaklęciem, zaczynają się poruszać pod popiołami i ożywiać zjawiska martwych kosmosów. Straszliwe żużle słońc zaświecają się blado, zbiegają w kształt swój pierwotny i wyciągają ręce w nieskończoność... I wschodzą, jak par z nad mogiły, fosforyczne widma pramgławic... Za nimi upiory gwiazd rozczochranych i trupy planet, czerniejące oczodołami swych nagich, klocowatych czaszek, potwory konstelacyi i ciemne zodjaki i rozwichrzonowłose furye komet zagasłych — wynurzają się z wirem szalonym i uderzają w przestworza... I oto, ku niepojętej zgrozie naszych uciekających światów trójwymiernych, zaczyna się taniec szkieletów!...

Dzieją się rzeczy, o których gwiazdy opowiadają gwiazdom, koczując narodami po nieskończonym stepie z lazuru....

Zegarmistrz na własne oczy to wszystko oglądał i serce mu drżało od trwogi i od do-

znawanej po raz pierwszy nieludzkiej jakiejś rozkoszy.

Co krok spotykał nowe, a ziemi nieznane pokłady materyi i ducha... Jakieś wody — nie — wody rzek dziwnych... jakieś kwiaty — nie — kwiaty... i dziwne szumy i milczenia... Na skręcie drogi olbrzymie drzewa — nie drzewa, pochylone nad jeziorem, mającem barwę wieczności...

I widział jakiegoś starca olbrzyma, przechadzającego się pod drzewami, jak strząsał z nich dojrzałe owoce, podobne do słońc i księżyców.... Starzec je podbierał i chował do kwiecistego kosza, lub rzucał w tonie jeziora....

Już był uczony nasz w pobliżu owego Zegara, już czuł obecność jego, już mógł go ujrzeć i dowiedzieć się o niezawodnym, absolutnym czasie...

Nareszcie ujrzał — i choć tam czasy były innego wymiaru — ujrzał, zrozumiał i poznał istotną Godzinę.

Lecz była ona tak niewysłowienie wielką, a wszystko dookoła tak niewysłowienie pięknem, i taka błogość napełniła mu serce, że w ekstazie tej zapomniał mistrz o wszystkiem co dotąd obchodziło go w życiu... zapomniał więc i o drobnych zegarczynach ziemskich, które za-

mierzał był naprawiać, a które wobec tego, co teraz poznał, straciły dlań wszelkie znaczenie. Nie myślał już o powrocie do ludzi. Postanowił tu zostać na zawsze.

Lecz właśnie w tym nieziemsko błogim stanie w jakim się znalazł obecnie — uczuł nagłe szarpnięcie i ostry ból w sercu, a zarazem zgrzytliwy szczęk jakiś uderzył słuch jego, — szczęk pochodzący gdzieś strasznie z głębi — z nizin — gdzieś przeraźliwie z dołu.

To na ponurym zegarze Ziemi wybiła jego własna godzina.

Któregoś dnia, rano, za kantorkiem znaleziono sztywniejący już trup genialnego Zegarmistrza, który umarł w nocy.

V

TRYUMF ŚMIERCI

Był pewien dziwny, chociaż prosty człowiek, który nie kochał ludzi.

Mieszkał samotnie, w starym zamku nieopodal cmentarza. Co robił, nikt nie wiedział, bo nikt nie przestąpił progu jego domu. Wiedziano tylko, że każdej nocy do rana w najwyższem oknie jednej z wież ponurego zamku paliła się lampa, której światło przez ludzi z miasta, z powodu oddalenia, mogło być wzięte za gwiazdę.

Człowiek ten nie marzył nigdy o miłości, i nigdy nie zatrzymał wzroku dłużej na żadnej dziewicy, chociażby tak pięknej, że swoją urodą ściągała spojrzenia nawet starców.

Aż spotkał wreszcie jedną — najpiękniejszą.... Lecz było to w dniu, gdy na niej już spoczął wzrok aniołów...

Wtedy ją ujrzał poraz pierwszy w życiu; a była otoczona wielotysięcznym tłumem, i oczy wszystkich patrzyły na nią — na jej twarz białą i blado uśmiechającą się do błękitów;. zaś

dookoła płonęły pochodnie, chociaż był dzień i świeciło słońce.

Ujrzawszy ją zadrżał — poraz pierwszy w życiu przejęty wielkiem wzruszeniem. I długo stał nieruchomy, i patrzył na nią, i nie mógł oderwać oczu.

Wieczorem dnia tego, gdy wrócił do domu, długo siedział milczący, z głową opartą na dłoniach.

Aż zapadła noc — ciemna i bezgwiazdzista.

Wówczas — jak gdyby usnął — wydało mu się, że opuszcza swoje mieszkanie, i lunatycznie zeszedłszy na dół ku gościńcowi, skręca znajomą, świeżo udeptaną w trawie ścieżką ku jakiejś wysokiej bramie z głazów... Że wchodzi przez nią do jakiegoś tajemniczego królestwa, przed którem zdejmuje go trwoga, i że tam chwiejnym krokiem błądzi śród pustych krużganków, pod szeregami posągów wyzierających z gęstwiny drzew ciemnych i nieruchomych, podobnych czarnym kolumnom lub obeliskom, że oglądając się trwożnie, jak złodziej, skrada się drżący — i oto usiłuje odważyć spiżowe drzwi jakiegoś złowrogiego pałacu, pełnego chłodu i milczenia... A serce mu biło jak młotem i uginały się kolana, jak gdyby pod grozą zbrodni.

Dookoła zaś panowała noc ciemna i bezgwiazdzista.

I śniło mu się, że wraca znowu po krętych schodach do siebie, na wieżę, dźwigając jakiś ciężar niewymownie drogi.

Lecz gdy się ocknął, nie sam się znalazł na wieży, w swojej wspaniałej po królewsku ubranej komnacie.

Na adamaszkowych kobiercach, w bieli atłasów, w wieńcu róż świeżych na skroni, milcząca i nieruchoma, odrzucona głową o złote poręcze, z włosem rozsypującym się aż do ziemi, spoczywała ta, ku której zwracały się spojrzenia wielotysiącznego tłumu, gdy dookoła płonęły pochodnie w dzień biały.

On zaś schylony klęczał przed nią i zamierając od szczęścia wpatrywał się z zachwyceniem w jej twarz białą i uśmiechającą się jak gdyby ku złoceniom stropów... a na skronie jej blade i na fale płowych włosów spływało łagodne światło od lampy zawieszonej w oknie.

Nareszcie, z całem uczuciem niewysłowionej tkliwości, pochylił się ku jej śnieżnemu, listkami róż ocienionemu czołu, i nieśmiało zbliżył się ustami, by złożyć na niem pocałunek, tak cichy, jak tchnienie róż, co muskały jej skronie.

I zdało mu się, rzecz dziwna, że ona nagle drgnęła....

Istotnie ze zdziwieniem spostrzegł, że zadrżała...

Leniwie się przeciągnęła... westchnęła głęboko... i ociężałe podniosła powieki.

Uniosła się wreszcie zwolna i usiadła, patrząca w niego z miłością, oczyma, z których się jeszcze przeświecał błękit zaświatowych niebios...

Słońce już gasło na zachodzie, ostatnim skośnym promieniem wpadając w najwyższe okno wieży. Różowy półcień trwał we wspaniałej, po królewsku ubranej komnacie. Z ścian wychylały się przygasłe twarze antenatów, patrzące jeszcze ku życiu przez smętną ośniedź zapomnienia.

Sute draperye spadały ku posadzce, zarzuconej skórami tygrysów. Promień się ślizgał po ramach przyciemniałych obrazów, od złoceń ich odbijając się blado i jakiś pobrzask różowy wsiewając w ciemne kąty — potem zatrzymał się drżący na splotach kobiecych warkoczów — rozbłysnął się na nich złociściej.— i ześliznął...

Siedziała smutna, zapatrzona przed siebie, z rękami założonemi na kolana, i usta jej drżały boleścią, gdy wymawiała te słowa:

— Tak, wiem że jestem szczęśliwą, bo jestem przy tobie, i wiem, że mnie nie opuścisz. A jednak ciężar wielki legł na sercu mojem. Czuję, że już przestałeś mię kochać. I czemuż budzić mię było, kiedym już spała tak cicho? i czemu budzić miłością — po to byś przestał kochać mnie po przebudzeniu?!...

— Tak, prawdę mówisz — odrzekł z prostotą i bez złej myśli. — Kochałem ciebie, kiedyś leżała bez życia i pocałunkiem miłości spłoszyłem sen twój kamienny... lecz teraz już nie mogę kochać ciebie...

I dziwny ten człowiek chciał jej wyjawić to co było straszną jego tajemnicą... Lecz choć to był zupełnie prosty człowiek, on nie wyjawił jej tego...

Lecz ona wyczytała to sama z wyrazu jego oczu — i posmutniała jeszcze bardziej.

Za chwilę jednak twarz jej wypogodniała radosną jakąś nadzieją:

— Będę kochana przez ciebie — rzekła cichym głosem.

I oto znowu na adamaszkach, w bieli atłasów, z wieńcem róż bladych na skroni, oparta głową o złote poręcze, milcząca i nieruchoma, z włosem rozsypującym się aż do ziemi, leżała

przed nim ta, która umarła, by być kochaną przez niego, i którą oto on kochał znowu.

I oto znowu klęczał przed nią i zachwycony patrzył na twarz jej białą i uśmiechniętą, w promieniach lampy zawieszonej w oknie, tej lampy, której światło przez ludzi z miasta z powodu oddalenia mogło być wziętem za gwiazdę.

I oto znowu z uczuciem niewysłowionej tkliwości pochylał się ku jej blademu, listkami róż ocienionemu czołu, by złożyć na niem pocałunek tak cichy, jak tchnienie róż, które muskały jej włosy...

Gdy nagle ze schodów dały się słyszeć kroki zbrojnych ludzi i naraz gwałtownie zakołatano do drzwi.

Byli to ludzie wysłani za poszukiwaniem niedawno zmarłej księżniczki. Od kilku bowiem już dni spostrzeżono, że grobowiec był pusty.

Znaleziono teraz zbrodniarza, a przy nim jej, o dziwo, jeszcze ciepłe zwłoki.

Zabrano go natychmiast do więzienia, zakuto w kajdany i stawiono przed sąd, jako mordercę.

— Dopuściłeś się zbrodni nieludzkiej, przemówili sędziowie. Zamordowałeś osobę książęcego rodu. I nie na tem koniec twej winy. Nie zapieraj się, wiemy, jak się rzecz miała.

Księżniczka była w letargu, z którego nagle ocknęła się wśród nocnych ciemności. Wyszła z grobu i przerażona szukała schronienia... Ty ją porwałeś wówczas, i zbeszcześciłeś i w obawie przed oskarżeniem otrułeś nieszczęśliwą.

Poniesiesz za to zasłużoną karę: zginiesz wpleciony w torturowe koło.

Przyznaj się lepiej do winy, abyś zasłużył na litość u Boga w niebiosach, bo u ludzi na ziemi nie doznasz żadnych względów.

— Nie — odparł z prostotą — nie popełniłem zbrodni, i opowiedział prawdę całą. Nie zadałem jej śmierci — sam ją wydarłem mogile. Nie znieważyłem jej, gdyż ją nad życie kochałem. Zbudziłem ją z snu wiecznego pocałunkiem miłości. Lecz ona potem, kiedy spostrzegła, że przestałem ją kochać z chwilą gdy ożyła, a chcąc być kochaną przeze mnie — umarła znowu sama. — Odgadła bowiem z mych oczu, że jestem tym dziwnym człowiekiem, który kocha tylko umarłych.

— Taak??!! — zawołali sędziowie głosem od zgrozy zdławionym, a twarze ich pobielały jak płótno. — Więc jesteś tym, który groby odwala i znieważa trupy?!! O ileż sroższa za to czeka cię kara!

I udali się na naradę, i długo tajemnie radzili, aż wynaleźli odpowiednią mękę.

Zaprowadzono go do wilgotnego lochu, w którym leżała księżniczka, przykuto do jej trupa, po czem zamurowano wejście do grobowca.

I oto znalazł się teraz zaślubionym z nią na wieki, w zimnem, wilgotnem podziemiu, gdzie nie było powietrza, a raczej było go tyle, ile wystarcza umarłym.

Ale on był szczęśliwym, bo oto z nią go połączono na wieki, i nie cierpiał, i nie czuł braku żadnego i nie widział nawet otaczających go ciemności.

Bo nawet w tem głuchem podziemiu świeciło mu słońce, owo słońce cudotwórcze, które gdy raz wzejdzie w duszy człowieka, nie traci swych blasków złotych nawet w grobie.

Wzruszony klękał przed nią i zamierając od szczęścia patrzył w jej twarz ukochaną, i z uczuciem niewysłowionej tkliwości pochylał się ku jej czołu drogiemu, by na niem kłaść nieśmiałe pocałunki....

I ona czuła jego pieszczoty, chociaż nie była żywą... i odpowiadała na jego spojrzenia, nie

mogąc podnieść ociężałych powiek. I uśmiechała się do niego, nie poruszając ustami.

I ona kochała go, choć serce w niej nie biło, i krew przestała krążyć....

Bezwładna i nieruchoma, nie schodząc z swego kamiennego łoża, brała go tkliwie za ręce i prowadziła za sobą w kraj jakiś dziwny, senny a nie śpiący... W ogrody jakieś srebrne od księżyców, w aleje śpiewne głosem ciszy i milczenia...

Nad tonie jakieś — pełne zapomnienia, płynące nie zdrojami przejrzystej fali, lecz przejrzystością samą i samem odbiciem błękitów...

Pod nieba — stokroć większe i piękniejsze, niżli ziemskie niebo, na których stoją wiecznie wszystkie wschody i zachody...

Gdzie wszyscy ci, co »powrócili do siebie«, nie opuszczając swych ciasnych domków pod darniną, schodzą się gromadami i ciche odprawiają biesiady...

Zebrani razem siedzą na przejrzystości brzegu, lub błądzą pośród kwiatów, które znikły z ziemi, i tam zakwitły wspomnieniem swych kształtów — pod kopułami z tęcz, w powiewach tajemnicy, śród marzeń, które na ziemi zawiodły — a tutaj się spełniają...

I tam on poszedł za nią — za swem szczę-

ściem cichem i jedynem — w świat jakiś większy stokroć niźli ziemia, bowiem umarłych o ileż więcej jest, niż żywych ludzi — w świat pełen zorzy wiecznej i księżyców i ciemnych gajów ochłody i ciszy łabędzich przystani....

I oto poznał tam nareszcie ową wielką miłość, nie tę, którą kochają się żywi, nie tę, którą żywi kochają umarłych lub umarli żywych — lecz ową wieczną i jedyną, która śmierci nie zna, która wszystko przenika i ogarnia, która przeszłe i przyszłe wieki w jedność spaja, dla której różnic niema, której czas nie ochładza i przestrzeń nie odmienia — z której wszystko powstało i która się nie skończy.

VI

TAJEMNICA DŁUGIEGO I KRÓTKIEGO ŻYCIA

I.

Spory szmat lądu i morza zajmowało nieporównane imperyum wielkiego Li-Czyng-Ki-Jamy. Było to jedno z najznakomiciej urządzonych i najznakomiciej rządzonych na świecie mocarstw.

Wszyscy poddani tam słynęli z rozsądku i zdrowych przekonań politycznych; wszyscy byli jednakowego wzrostu średniego, i wszyscy tak do siebie podobni, jak jedna kropla wody do drugiej.

Bowiem imperyum to było wysoce oświeconym krajem.

Byli tam dygnitarze, byli uczeni i filozofowie, byli bankierzy, kupcy, dozorcy więzienni, profesorowie wszechnic, aptekarze, książęta krwi i różni inni utytułowani... Byli tam, z konieczności zresztą, i ludzie zwyczajni, indywidua ciemne i bez znaczenia, czyli właściwy plebs,

inaczej mówiąc: pospólstwo, motłoch, albo hołota.

Tych ostatnich jednakże uszczęśliwiała oświeconość przodujących w kraju ekscelencyi, z których każdy im większą posiadał naukę, tem wyższą piastował godność, a im wyższą piastował godność, w tem dłuższych wypadało mu pogrążać się zadumach, chłodzące popijając napoje, w obłokach dymu buchającego ze wspaniałej fajki.

Ale na to, by dojść chociażby do najniższej godności należało poskładać odpowiednio trudne egzamina.

I tak, trzeba było przed nieposzlakowaną komisyą odpowiedzieć z pamięci i bez zająknienia na pięć zasadniczych, trzy drugorzędne i dwa uboczne naukowe pytania, aby otrzymać order »Księżycowej miotły« a przez to samo godność zamiatacza placu w powiatowem mieście. W stolicy, dla zaznaczenia jej wyższości nad innemi miastami, urzędu tego nie było. Ażeby zostać komisarzem policyi, wymagało się conajmniej w dwójnasób większej wiedzy.

Jeżeli zatem uprzytomnimy sobie, ile to stopni hierarchicznych oddziela takiego stróża i kierownika porządku ulic od dyrektora cesarskiej nadwornej kapeli, to może zdołamy wyo-

brazić, jak wysoce ukształconym musiał być ów pasterz dźwięków niesfornych, skoro dozwolonem mu było wymachiwać laseczką nawet przed majestatem.

Wszyscy obywatele zwyczajni, ubierali się jednakowo: żółto. W miarę jednak wyższości urzędu noszono bogatsze i barwniejsze stroje. Już nawet »spensyonowany inspektor od sikawek«, miał na swym żółtym uniformie naszyte dwie gwiazdki zielone. Oficer gwardyi miał cały płaszcz z sutego fioletowego jedwabiu. I tak szło w górę. Z podnoszeniem się rangi, podnosiła się świetność barwy na wierzchniem ubraniu, a przy jeszcze większych zasługach nawet i na spodniach. Nie stało bowiem nierządem imperyum wielkiego Li-Czyng-Ki-Jamy. I słusznie rzec można, iż nietylko mądrość, jak to widzimy z trudności egzaminów, ale i sprawiedliwość rządziła tym wysoce kulturalnym krajem.

Nie była tam w zaniedbaniu nawet sztuka, tylko tam niebyło o nią sporów, a to dzięki wybornym podręcznikom estetyki, które zatwierdziło ministeryum.

Kto w ziarnku ryżu lub pszenicy, nie psując jego wierzchniej powłoki, potrafił wyrzeźbić drugie, mniejsze ziarnko, ten uważany był za artystę. Za wielkiego artystę uchodził ten, kto

9*

wyrzeźbiwszy w jednem ziarnku drugie, w tem drugiem potrafił wyrzeźbić jeszcze jedno, już bardzo maluchne oczywiście ziarneczko. Ale ten, kto w jednem ziarnku wydłubawszy drugie, a w drugiem trzecie, i w tem trzeciem (zawsze nie psując skorupek) zdołał wyskrobać jeszcze jedno, już całkiem mikroskopijne, — takiemu nawet z urzędu przyznawano tytuł prawdziwego mistrza. Przyjmowały go wyższe sfery, zatwierdzało go ministeryum, i nawet sam wielki Li-Czyng-Ki-Jama interesował się jego talentem, a czasem, bywały wypadki, raczył nawet dopuszczać mistrza tej miary, na równi z mistrzami i ambasadorami obcych mocarstw, do uroczystych bankietów, olśniewających blaskiem, mój Boże, i jakiejże wytwornej etykiety!

II.

Wiadomo, że na całym świecie ludzie są jednakowo źli i nielojalni. Jeżeli więc w imperyum tem wszyscy byli rozsądnymi obywatelami, to nie należy wcale przypisywać tego szlachetności ich wyjątkowej natury. Należy to przypisać temu, że mieli oni doskonały kodeks karny, kodeks, który był wprost jakby wymarzonem przez patryotów matematycznem jakiemś arcydziełem!

Oto na dowód — pierwszy lepszy z jego paragrafów:

»Jeżeli człowiek zwyczajny wobec dostojnika pierwszej (t. j. najniższej) klasy siedzącego usiądzie, to winien za to otrzymać jedenaście »bambusowych pogłaskań« — tam, gdzie prawo uważa za — najstosowniejsze.

»Jeżeli wobec urzędnika drugiej klasy siedzącego usiądzie, to należy mu się dwa razy

więcej rzekomych pogłaskań, czyli razem takowych dwadzieścia i dwa.

Uwaga 1. Zwyczajny wobec dostojnika pierwszej klasy siedzącego powinien stać, wobec leżącego może siedzieć. Wobec dostojnika drugiej klasy siedzącego, powinien chodzić, wobec stojącego biegać, wobec chodzącego skakać i t. d.

Uwaga 2. Jeżeli więc zwyczajny wobec dostojnika pierwszej klasy siedzącego się położy, karany ma być tak samo, jak gdyby wobec urzędnika drugiej klasy chodzącego chodził.

»Jeżeli zatem zwyczajny wobec ekscelencyi siedzącego zacznie chociażby skakać — to zważywszy na wysokość stanowiska tego dygnitarza, ma uledz karze odpowiednio wyższej czyli: łagodnemu odpiłowaniu głowy.

I jakże teraz się dziwić, że wobec tak doskonałego ustroju, nieporównane imperyum owo, jakkolwiek spory szmat zajmowało lądu, lubiło zaokrąglać swe granice, pragnąc jak najwięcej ludzkości uszczęśliwić swemi znakomitemi urządzeniami!

III.

I oto niejaki Fu, obywatel takiego kraju, człowiek zwyczajny, ubierający się całkiem żółto, bez żadnej gwiazdki ładniejszego koloru, żywiący się najgorszym gatunkiem ryżu i herbaty, nie mający prawa nawet zamarzyć o wybrednych przysmakach, w rodzaju pasztetu z piętek pajęczych lub tartych w miodzie gąsienic, nie umiejący odpowiedzieć bez zająknienia nawet na jedno trudne naukowe pytanie, słowem osobnik ciemny, bez zasług i znaczenia, to nic zupełne — ten nędzarz ośmielił się być w głębi ducha (naturalnie tylko w głębi ducha) ośmielił się być innego niż wszyscy, niż prawo i nauka nakazywały, o urządzeniach jego ojczyzny zdania!

Jakże jest straszną ciemnota ludu, jak błogosławić należy patryotów, którzy walczą z analfabetyzmem!...

Biedny Fu był zdania, że wcale mu nie jest

tak dobrze przy tych urządzeniach, jak wszyscy go o tem zapewniali, że owszem, bardzo jest źle nawet. Był oczywiście zupełnym idyotą, nie umiejącym myśleć seryo, t. j. brać rzeczy »tak jak one są«... Marzyciel niezdolny dostosować się do najprostszych wymagań zdrowego rozsądku, indywidyum pozbawione taktu i zmysłu oryentacyi...

Fu w żaden sposób nie umiał sobie poradzić z liczeniem gwiazdek na spodniach nawet u znacznych dygnitarzy...

Nieraz więc za to odbierał mniejsze lub większe porcye bambusowych połechtań, zależnie od powagi osobistości, z którą miał szczęście się spotkać. A ponieważ i kije nie zdołały nauczyć go obowiązkowości, nic więc dziwnego, że coraz to więcej doznawał niezaprzeczonych dowodów prawidłowego funkcyonowania i znacznej biegłości w matematyce miejscowych władz wykonawczych.

Kto inny wytrwałby może cnotliwie, z determinacyą, aż do końca, znajdując pocieszenie w samej doskonałości funkcyonowania prawnego systemu... Ale Fu, niestety, nie należał do cnotliwych.

Fu nie miał w sobie zdrowego poczucia, nie miał należytego poszanowania dla niena-

ruszalnej świętości przyjętych powszechnie zwyczajów i postanowień i zaczął... filozofować. Uciekłszy od ludzi — na samotności — w tajemnicy zupełnej, zaczął się karygodnie zamyślać, zastanawiać — i nad czem? nad wynalezieniem sposobu wymknięcia się słusznym wyrokom, czyli nad oszukaniem prawa!

Wiedząc, że w imperyum tak znakomicie rządzonem żadna siła ludzka nie zdoła wydrzeć winnego zasłużonej karze, zaczął przemyśliwać nad tem, czyby nie było możliwem w jakiś sposób zmniejszyć przynajmniej ból, albo skrócić czas trwania jego, chociażby pod względem wewnętrznego odczuwania nieprzyjemnych wzruszeń.

Wiadomo, że czas niekiedy wlecze się po żółwiemu, niekiedy leci szybkiem skrzydłem ptaka. Czas jest zawsze jednaki, lecz w odczuwaniu naszem godzina może się wydać jedną chwilą, tak dobrze jak i całym wiekiem. »Godziny dłużą się w lata, a lata nikną jak chwile« — głoszą mędrcy. Musi zatem wewnątrz nas samych, w naszej duszy leżeć przyczyna owego skracania się lub przedłużania czasu.

Musi być jakiś sekret.

I oddawszy się z całym, właściwym samoukom uporem i zaciętością trudnym filozoficznym

dociekaniom, zrobił Fu, po pewnym dość długim zresztą czasie, epokowe odkrycie. Znalazł sposób skracania chwili. Przy pierwszej z łatwo nadarzających się sposobności, wypróbował wynalazek, i z biegiem czasu udoskonalił go do tego stopnia, że umiał skracać ból, trwający wiele godzin, w odczuciu swem, do mniej niż jedna sekunda. A doszedłszy do takiej perfekcyi, zaczął drwić sobie z prawa i sprawiedliwości.

Jakże niebezpieczną jest wiedza w ręku ciemnego pospólstwa!

Lecz wynalazca nasz nie zatrzymał się na tem jednem występnem odkryciu. Miał on młodą i urodziwą małżonkę, która codziennie listkami aloesu, umaczanemi w rycynowym olejku, okładała dosadne ślady sprawiedliwości na jego nędznem, chudem ciele. Czyniła to z dumą i ze łzami w oczach. Dzięki tej słodkiej kobiecie doświadczył Fu nieco dostępnych nawet dla niedostojnych osób, miłych chwil w życiu. Lecz chwile te jak każda radość ziemska, trwały tak niewymownie krótko! Przyszła mu zatem myśl nie zła, by i do tych znikomych momentów szczęścia zastosować środek skuteczny w długotrwających godzinach cierpienia, a zastosować

go na odwrót, t. j. by działał w kierunku przedłużania.

I to mu również świetnie się udało, tak dalece, że słodycz jednej przelotnej pieszczoty był w stanie rozciągnąć na długość całych godzin szczęścia i nawet jeszcze na dłużej.

Już teraz czuł się zupełnie zadowolonym z losu. Zmienił się całkiem. Z melancholijnego, stał się wesołym i swobodnym, z milczącego rozmownym a nawet nieco przekornym i wyzywającym. Wyładniał, wypogodniał na twarzy i zaczął nawet tyć. A zrobił się już zupełnym arogantem z chwilą, gdy wybornemu swemu dziełu, jakkolwiek to nie miało nic wspólnego z literaturą, znalazł odpowiedni tytuł. Nazwał je »Tajemnicą długiego i krótkiego życia«.

Nadobna Fi cieszyła się niezmiernie ze zmiany usposobienia męża, lecz dla wrodzonej każdej kobiecie ciekawości żądała natarczywie, aby wyjawił jej, czemu zawdzięcza tak pomyślną zmianę. Fu opierał się długo, ale wkońcu nie wytrzymał — i przyznał ją żonie, że zrobił naukowe odkrycie. Zaklinał się przytem na wszystkie świętości, żeby nikomu o tem nie mówiła, gdyż w przeciwnym razie mogłoby to ściągnąć na jego głowę Bóg wie jakie wielkie nieszczęście. Ti dała mu święte przyrzeczenie,

że będzie jak grób niema, poczem, naturalnie, jako prawdziwa kobieta, pobiegła zaraz do najbliższej sąsiadki, aby pochwalić się przed nią, jakiego ma genialnego męża. Sąsiadka najbliższa powtórzyła to sąsiadkom dalszym, i stało się tak, że po pewnym czasie jakiś cnotliwy patryota poczuł się w obowiązku donieść o niebezpiecznem odkryciu odpowiednim organom władzy. Te zaś wykazując i tym razem wzorową swą sprawność i gorliwość pospieszyły niezwłocznie uwięzić nieproszonego wynalazcę.

I oto domorosły nasz uczony musiał stanąć przed sądem, pod zarzutem samowolnego dokonania odkrycia bez uprzedniego złożenia egzaminów, a tem samem o przekroczenie ustawy, sankcyonowanej z góry, której przestrzeganie, jako i przestrzeganie wszelkich wogóle ustaw, jest wyraźnem życzeniem monarchy, czyli — o zbrodnię obrazy majestatu.

Proces trwał krótko i odbył się jak najprawidłowiej. I Fu mógł być zupełnie zadowolonym z przebiegu rozprawy, gdyż z całem zachowaniem przepisów został zasądzony na powolne rozpiłowanie dwiema w przeciwne strony piłującemi piłami.

Nietylko jednak chodziło w tym kraju o karę samą (owszem, chodziło o nią), lecz dbano też

i o danie winowajcy możności naprawienia choć w części wyrządzonej społeczeństwu krzywdy.

Fu zatem miał wykonać teraz to, czego nie wykonał w porę. Miał zwierzyć swój sekret władzom. I w tym celu wzięto go na tortury przedwstępne, zwane prowizorycznemi, prewencyjnemi, albo jeszcze inaczej, zależnie od podręcznika, w którym o tem mowa.

IV.

Trudno jest bez błogiego uśmiechu zadowolenia wspomnieć o czemś tak pięknem i budującem, jak to, czem w oczach świata całego był park wielkiego Li-Czyng-Ki-Jamy, prawdziwa chluba narodu, miejsce gdzie dojrzewały przesłodkie owoce sprawiedliwości.

W długich alejach, pomiędzy zielonością palm i posągami z marmuru, ciągnęły się nieskończone rzędy rusztowań, zbudowanych z niezmiernie drogiego zamorskiego drzewa. Na szczytach ich poustawiane były misterne »przyrządy«, wszystkie ze złota, srebra lub słoniowej kości.

Artystycznie rzeźbione krzesełka o naszpilkowanych poręczach, wytworne szezlągi służące do łagodnego łamania nóg i ramion; rodzaj maszynek do szycia, zaopatrzonych w ząbkowate kółka, rozciągających stawy powoli a skutecznie... Słowem to wszystko co krzepi serca w cnotliwych obywatelach — to wszystko było w tym

wspaniałym ogrodzie, który zarazem był i najweselszem miejscem w ojczyźnie, miejscem jubileuszowych obchodów, wojskowych ćwiczeń i poobiednich przechadzek.

Grała tam codzień muzyka. Drogi usypane były złotym piaskiem; drzewa udekorowane monogramami cesarza i niezliczoną ilością różnokolorowych latarek. Co wieczór alejami przechadzały się tłumy, przyglądając się budującym ducha widowiskom, po których bywa sen zdrowy i lepszy apetyt. Przed ciekawszemi miejscami wolno było zatrzymywać się dłużej i klaskać w dłonie, wydając przepisane okrzyki.

Przedwstępne »słodkie połechtania«, którym poddano wynalazcę, miały trwać trzy dni. Były one, w całem znaczeniu słowa, bez zarzutu.

Postawiony przed osobliwem, specyalnie dlań skonstruowanem przesubtelnem jakiemś »perpetuum mobile«, Fu nieco się skrzywił, wyrazem strachu, nie pozbawionym zresztą i zaciekawienia. I nic dziwnego. Najgenialniejszy nawet odkrywca, jakkolwiek jest pewnym skuteczności swego wynalazku, zarówno jak i lekarz doskonale wypróbowanego środka, nie w każdej chwili są skłonni do wykonywania tak na zawołanie próby, a to tembardziej, gdy ma się odbyć ona na ich własnej osobie... Więc Fu się skrzywił

mimowoli. A kiedy go wsadzono w maszynę, skrzywił się jeszcze bardziej... I za pierwszem puszczeniem jej w ruch nawet krzyknął z boleści, — lecz krzyknął krótko, raz jeden, jakby od niespodziewanego ukłucia, i natychmiast zamilkł — uśmiechając się błogo do sprawiedliwości.

Wówczas ekscelencya od tortur, cały ubrany różowo, po długiem i pięknem, dostrojonem do powagi chwili przemówieniu, zwrócił się doń z żądaniem, aby wyjawił sekret.

Ale Fu odpowiedział milczeniem. Uśmiechnął się jeszcze łagodniej i przymrużył powieki, jak gdyby zasłuchany w śpiew ptaków, którym o tej godzinie rozlegał się park cały.

Ekscelencya przeczekał odpowiednią chwilę, i odszedł w świetnym orszaku innych dygnitarzy, pozostawiając skazańca — na dłuższe rozmyślania.

Słońce jasno świeciło. Aleje parku roiły się od tłumów.

Różni ludzie przechodzili koło Fu, ciekawsi zatrzymywali się przed nim dłużej, a niektórzy nawet kiwali głowami z uznaniem, że tak pięknie kona...

Nareszcie zapadł wieczór, i cisza zapanowała zupełna. Z za drzew ukazał się księżyc i pły-

nął wolno po niebiosach, aż stanął nad nim w górze srebrny i promienny.

A potem kwiaty zapachniały mocniej, i niebo znowu zbladło — gdzieś w oddali, w oddali odezwał się śpiew pełen rzewności... zapewne głos słowika — bo to było w maju.

V.

Dwa razy jeszcze, to znaczy nazajutrz i dnia trzeciego powtórzono przed nim to samo zapytanie. Ale przestępca znowu nie dał żadnej odpowiedzi.

Nie pozostawało już nic innego, jak czwartego dnia rano wykonać na nim dalszą część wyroku.

Wydobyto go z karbów filigranowej maszyny i poprowadzono ku innej części parku — ku oddziałowi pił.

Jak to jednakże zawsze dzieło myśli ludzkiej bywa niedoskonałem! Nawet w tem wzorowem prawodawstwie znalazła się luka — wada, która dopiero w naszych czasach została usunięta na zawsze. Bóg wie z jak dawnych barbarzyńskich epok zabłąkany istniał tam zwyczaj, pozwalający skazańcowi w ostatniej godzinie żądać niektórych, godziwych zresztą przyjemności, mogących osłodzić jego opłakaną dolę.

Stanąwszy więc przed szafotem wyraził Fu życzenie pożegnania się z swoją nad życie umiłowaną małżonką.

Przyprowadzono mu ją natychmiast, na koszt państwa.

Ale cóż? Niepoprawny ten człowiek zawezwał żonę jednakże nie dla samej radości widzenia się z nią przed śmiercią — zawezwał żonę w zamiarze powierzenia jej tajemnicy swego wynalazku.

Lecz kiedy biedna Ti stanęła przed nim we łzach, z rozpuszczonemi włosami, piękniejsza jeszcze, niż owo najdrobniejsze ziarneczko wyrzeźbione wewnątrz najmniejszego ziarnka ryżu lub pszenicy (bez naruszenia skorupki) przez mistrza bywającego na najuroczystszych przyjęciach u monarchy, — to teraz po tylu dniach rozłąki, wydała mu się ona tak powabną i uroczą, że zapomniawszy o wszystkiem, porwał ją w drżące objęcia i na koralowych wargach nadobnej namiętny złożył pocałunek. Zbrodnia pociąga zbrodnię. Nieszczęsny nasz degenerat, w liczbie innych swych grzechów, lubił stosować ów wstrętny cudzoziemski zwyczaj przykładania ust do ust, doznając zapewne jakiejś chorobliwej rozkoszy w takiem odstępstwie od ojczystego sposobu pojmowania miłości. Dosyć,

że pocałował publicznie własną żonę w usta. A pragnąc przedłużyć tę krótkotrwałą przyjemność, z pośpiechem zastosował swój środek — i zastosował go w dawce tak dużej, iż chwilę trwającą rozkosz całowania rozciągnąć zdołał w nieskończone czasy.

I tu się przerachował chytry Fu. Zapomniał, że jako człowiek śmiertelny nie może żyć wiecznie, w czasie więc trwania uścisku — wyzionął ducha.

Padł trupem u nóg ukochanej.

I ani piękna Ti, i ani jej przyjaciółka, i ani za nią świat cały, i nikt na świecie się nie dowiedział, na czem polega tajemnica długiego i krótkiego życia.

Sprawiedliwości jednak musiało stać się zadość. Nie mając już przed sobą żywego zbrodniarza, wykonano wyrok na umarłym. Rozpiłowano trupa jego dwiema w przeciwne strony piłującemi piłami.

KONIEC.

SPIS RZECZY.